NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA **KRAKÓW**, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok V. **Kraków, 28 marca 1908.** **Nr. 13.**

Walka cyganów z żandarmami. (Treść na str. 3).



Odznaczenia z fundacyi Kochmana.

Ubogie społeczeństo nasze niewiele ma fundacyi, przeznaczonych na nagrody za wybitne dzieła naukowe lub literackie, pojawiające się w języku polskim, nie wielu też uczonych naszych lub literatów korzystać z nich może. Jedną z tego ro



Odznaczenia z fundacyi Kochmana: Prof. dr. August Wiktor Witkowski.

dzaju nielicznych fundacyi jest fundacya Franciszka Kochmana, z której komisya konkursowa, powołana przez Wydział krajowy do ocenienia dzieł, każdorazowo przyznaje po dwie nagrody, pierwszą w kwocie 2000 koron, drugą w kwocie 1000 koron, za dwa najlepsze dzieła w języku polskim, z wyłączeniem dzieł treści religijnej i teologicznej.

Na tegoroczny konkurs nadesłano ogółem 24 dzieł różnej treści. Zauważyć jednak należy, że członkom komisyi przysługuje prawo wynagrodzenia i dzieł, które nie zostały na konkurs nadesłane i których autorowie wogóle o premie z tej fundacyi się nie ubiegali.

Taki wypadek zaszedł właśnie w tym roku, gdyż komisya konkursowa, której przewodniczył członek Wydziału krajowego dr. Józef Wereszczyński, a w której skład wchodzili: dr. Gustaw Roszkowski, Ludwik Kubala, Władysław Łoziński, dr. Tadeusz Wojciechowski, dr. Maryan Raciborski, dr. Ignacy Zakrzewski oraz referent spraw fundacyi, radca Wydziału krajowego J. Antoniewicz, przyznała obie nagrody dziełom, których autorowie do konkursu nie stanęli. Pierwszą nagrodę przyznano dr. Augustowi Wiktorowi Witkowskiemu, profesorowi Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, za całą działalność naukową, a w szczególności za podręcznik do nauki fizyki, drugą zaś Janowi Kasprowiczowi, największemu z żyjących poetów polskich, za całą jego działalność poetycką.

Demonstracye marcowe w Berlinie.

Ludność robotnicza w Berlinie święci corocznie pamiątkę rewolucyi marcowej 1848 r. W tym roku, ze względu na sześćdziesięciolecie tego pamiętnego wypadku politycznego, obchód miał bardziej uroczysty charakter.

Głównym punktem, gdzie koncentruje się ruch demonstracyjny, jest cmentarz berliński, tam bowiem znajdują się groby poległych w czasie rewolucyi. Na groby te zdążają tłumnie pochody z wieńcami i szarfami, tam też wygłaszają przywódcy przemówienia. I w tym roku podążyły na cmentarz całe procesye robotnicze z wieńcami; ze względu zaś na to, że napisy na wielu szarfach były niecenzuralne, policya skonfiskowała ich blisko 60. Cały obchód na cmentarzu odbył się spokojnie i poważnie.

Do burzliwych zajść przyszło dopiero w mieście, gdy policya zastąpiła wracającym z cmentarza tłumom drogę przy moście Moltkego. Ponieważ tłum parł naprzód, mimo wezwania policyi do cofnięcia się, policyanci dobyli szabel i rzucili się z niemi w szeregi robotnicze. Po krótkim oporze dały się przednie szeregi demonstrantów skłonić do odwrotu, w czasie bójki z policyą jednak kilka osób zostało zranionych, a kilkadziesiąt aresztowanych.



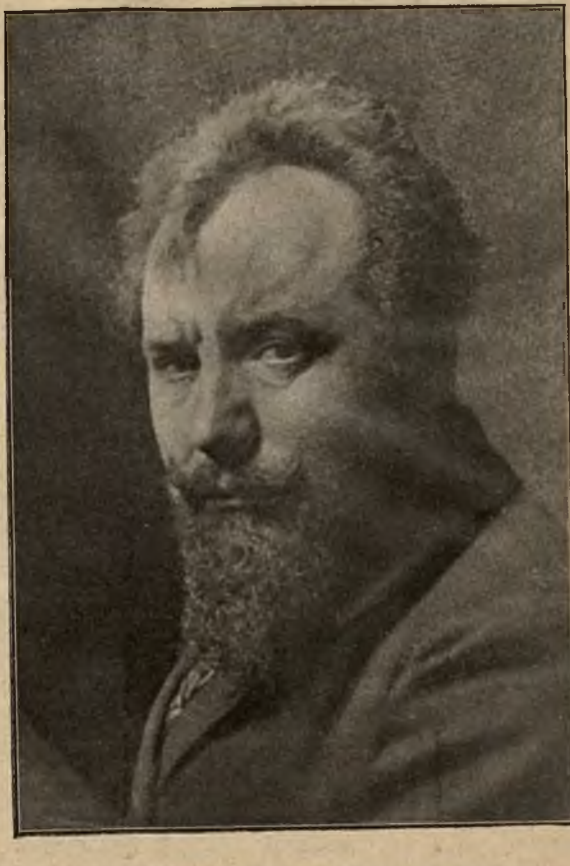
Demonstracya marcowa w Berlinie: Konfiskata szarf niecenzuralnych na cmentarzu berlińskim.

Król hiszpański w Barcelonie.

Dowód wielkiej odwagi osobistej złożył młody król hiszpański Alfons XIII., wybierając się w odwiedziny do Barcelony, gniazda anarchii i ojczyzny bomb.

Od chwili powstania w Europie ruchu anarchistycznego, Barcelona, stolica prowincyi hiszpańskiej Katalonii, stała się kuźnią wszelkich zamachów politycznych i ogniskiem rewolucyi, która stale zagraża całości Hiszpanii. Ludność katalońska nigdy nie żywiła przywiązania do swej metropolii, w ostatnich zaś czasach dawała przykłady, iż ruch separatystyczny nietylko w niej nie ustał, lecz raczej wzmógł się jeszcze. Rząd hiszpański widząc bezowocność represyi, chwycił się innego środka i począł schlebiać ambicyi tamtejszej ludności.

Jednym z objawów tego jest właśnie wizyta króla Alfonsa, który udał się do Barcelony pod pozorem odwiedzenia floty austryackiej. Początkowo eskadra ta miała zarzucić kotwicę w innym porcie hiszpańskim, wybrano jednak Barcelonę na wyraźne życzenie króla. Rząd poczynił zawczasu wszelkie środki ostrożności, wysyłając do Barcelony trzy tysiące policyantów. W dniu przybycia króla plac przed dworcem kolejowym i przylegające doń ulice, zajęły tłumy publiczności, szeregi najrozmaitszych delegacyj, w których udział wzięli



Odznaczenia z fundacyi Kochmana: Jan Kasprowicz.

i katalońscy nacyonaliści, wrogowie dynastyi. Król w towarzystwie premiera Maury i ministra marynarki Ferrandiza udał się naprzód do kościoła Merced, a stamtąd na plac Kapitański, gdzie odbyła się rewia wojsk.

W czasie przejazdu króla przez ulice miasta licznie zebrana ludność witała go owacyjnie, wznosząc okrzyki. Na drugi dzień odwiedził król eskadrę austryacką, przyjmowany niezwykle owacyjnie wśród odgłosów salw armatnich na okręcie admiralskim „Arcyksiążę Karol".

Po południu dnia tego wrócił król do Madrytu, gdzie był przedmiotem nowych owacyj. Na dworcu oczekiwało przybycia króla ciało dyplomatyczne, ministrowie, senatorowie i obie królowe.

Pożegnanie cenionego przełożonego.

Przed paru dniami opuścił Nowy Sącz z powodu przeniesienia do Stanisławowa, inżynier warsztatów kolejowych Ludwik Zagórny-Marynowski. Inżynier Marynowski zyskał sobie w ciągu siedmioletniego pobytu w Nowym Sączu ogólną sympatyę, zarówno w szerokich kołach towarzyskich miasta, jak wśród kolejarzy, którzy cenili jego niezmordowaną pracowitość, wielki takt w postępowaniu i niezwykłą uczynność.

To też fakt przeniesienia cenionego urzędnika-obywatela wywołał wśród kół kolejarskich w Nowym Sączu ogólny żal, czego dowodem było owacyjne, a bardzo serdeczne pożegnanie. Wzięli w niem udział nietylko przełożeni odjeżdżającego urzędnika, nietylko jego koledzy, ale i podwładni, w szczególności robotnicy warsztatowi.

Walka cyganów z żandarmami.

(Do illustracyi tytułowej.)

W okolicy Brodów grasowała w ostatnich czasach liczna i zuchwała banda cyganów. Ludność miejscowa nie mogła się opędzić natrętnym włóczęgom, nagabywającym rzekomo o pracę a w istocie szukającym tylko sposobności do kradzieży. Cierpliwość ludności wyczerpała się, gdy w jednej wsi obok Załoziec skradziono miejscowemu gospodarzowi parę koni. Podejrzenie padło odrazu na cyganów, żandarmerya tedy puściła się w poszukiwania za bandą.

Cygani dostrzegli w drodze ku Brodom pościg, poczęli więc pospiesznie uciekać, w czem im głównie skradzione konie były pomocą. Żandarmi nie dali jednak za wygraną i w dalszym pościgu dopadli cyganów w jednej z przydrożnych karczem, koło Zahodowa.

Zanim jednak zdołali ująć złodziei, musieli stoczyć z nimi formalną bitwę wewnątrz karczmy, cyganie bowiem porwali się na żandarmów z orczykami a jeden z nich usiłował wydrzeć żandarmowi karabin. W tej chwili drugi żandarm pchnął owego cygana bagnetem w bok, a wówczas — na widok krwi — poddała się cała banda i bez dalszego oporu pozwoliła się odprowadzić do sądu w Brodach.

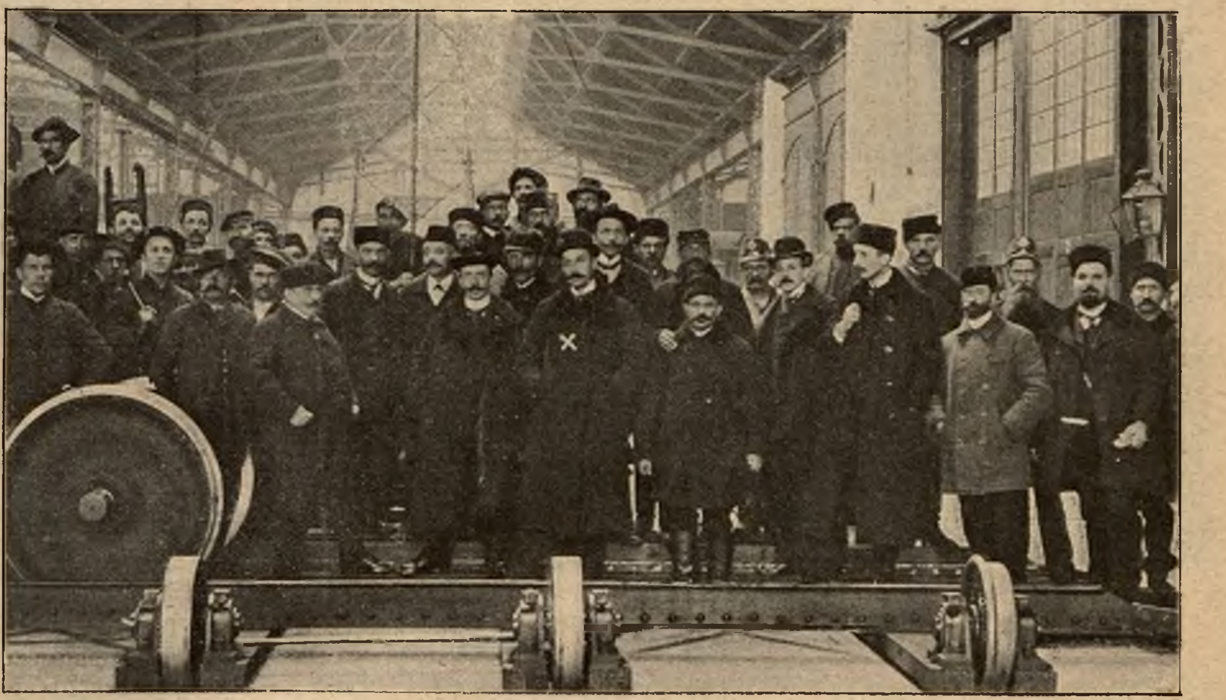
Chwilę walki cyganów w karczmie z dwoma żandarmami, przedstawia nasza rycina tytułowa w dzisiejszym numerze.

Rewolucya murzyńska.

Szeregiem morderstw politycznych przypomniała swe istnienie światu maleńka republika murzyńska, położona na uroczej wyspie antylskiej, Haiti. Historya tego czarnego mocarstwa składa się z jednego łańcucha rewolucyj, które wybuchają tam chronicznie co siedm lat, przy każdorazowym obiorze nowego prezydenta. Żądni władzy murzyni staczają za każdym razem krwawe walki ze sobą, aby tylko przeprowadzić swego kandydata, który za okazaną pomoc nader hojnie wynagradza swych sprzymierzeńców, a topi w potokach krwi przeciwników.

Taką rolę w dziejach Haiti odegrał i obecny prezydent, ośmdziesięcioletni Nord-Aleksis, przeciw któremu uknuto obecnie spisek. Na czele sprzysiężenia tego stanał kontrkandydat Aleksisa przy ostatnich wyborach, generał Firmini, rozporządzający całą prawie siłą wojskową republiki.

Obalenie obecnego prezydenta było już postanowione i miało wkrótce nastąpić, gdy rząd wpadł niespodziewanie na trop spisku. Odrazu przystąpiono do aresztowania spiskowców. Bez sądu wyciągano ich w nocy z domów, prowadzono na cmentarz i tam natychmiast rozstrzeliwano. W ten sposób zginęło pierwszej nocy trzynaście osób. Na wieść o tych egzekucyach sto dziewięćdziesięciu spiskowców, a między nimi i Firmini, poukrywali się w konsulatach zagranicznych, które postanowiły wypuścić ich tylko w takim razie, gdy rząd da zapewnienie, iż będą mogli wyjechać swobodnie



Fot. K. Skorupka, Nowy Sącz.

Pożegnanie cenionego przełożonego. Pożegnanie inżyniera Marynowskiego (X) przez personal robotniczy warstatowy.



Król hiszpański w Barcelonie: Tłumy zebrane na ulicach Barcelony w czasie przejazdu króla Alfonsa XIII.

z Haiti. Na ten warunek nie przystał Nord-Aleksis i dla poparcia swych żądań zmobilizował armię. Na wiadomość o tem zajściu interesowane mocarstwa: Francya, Anglia, Ameryka i Niemcy wysłały okręty wojenne, by zabezpieczyć swych



Król hiszpański w Barcelonie: Król hiszpański Alfons XIII. w towarzystwie prezydenta ministrów Maury i ministra marynarki Ferrandiza.

przedstawicieli, a zarazem skłonić Nord Aleksisa do przyjęcia postawionych warunków.

Bal „purymowy“ w Warszawie.

Często się słyszy w miastach o zabawach, zwanych „balami purymowymi“, a rzadko kto widział ten barwny, ukostyumowany tłum, składający się na publiczność „balu purymowego“.

W Warszawie, w jednej z największych sal, „Dolinie Szwajcarskiej“, odbył się taki bal w ubiegłą sobotę; urządziło go towarzystwo wspierania ubogich żydów (Tomchay-Anyim) z przeznaczeniem dochodu na zakup produktów żywnościowych dla ubogich żydów na nadchodzące święta.

Bal miał powodzenie niesłychane. Publiczności było tak wiele, że o północy policya wstrzymała napływ gości, nawet posiadających z górą opłacone bilety wejścia. Program wypełniły koncert i tańce, które poprzedził korowód ukostyumowanych. Dochód zebrany przeniósł pięć tysięcy rubli.

Pojedynek „bohaterów“:



Generał Fok.



Generał Smirnow.

O energii organizatorów zabawy dosadnie świadczy, że zaraz nazajutrz odbyło się zebranie członków Towarzystwa „Tomchay-Anyim“, na którym ustanowiono wysokość „racyj“ świątecznych dla ubogich. Składać się one będą: z pół pudu mac, pół korca kartofli, 5 funtów cebuli, 5 funtów mięsa, butelki wina, pół kwarty smalcu gęsiego, 10 jaj, cukru i herbaty. Porcyj takich wydanych będzie parę tysięcy.

Obok załączamy oryginalne, przy sztucznem świetle zrobione zdjęcie fotograficzne, przedstawiające grono uczestników zabawy „purymowej“ w „Dolinie Szwajcarskiej“.



Bal »purymowy« w Warszawie: Grono uczestników »Purim-balu« w »Dolinie Szwajcarskiej«.

KOLEJARZE.

Powieść na tle stosunków kolejowych

napisał

ARTUR GRUSZECKI.

19 (Ciąg dalszy).

Janinie zdawało się, że teraz dopiero przejrzała i z pewnym lękiem i wstydem rozejrzała się wokoło, jak gdyby ujrzała coś niespodziewanego i niemiłego... Tak, te meble mówiły tylko o jego dbałości o jej wygodę i przyjemność, łaskawy uśmiech naczelnika jemu zawdzięcza; gotowość służby do oddawania jej usług, to jego dzieło; uprzejmość kontrolora Dworaczka, znanego z bezwzględności, to jego wpływ; to mieszkanie jasne, czyste, z pięknym widokiem, to z jego polecenia; nie licząc posady kasyerki i otrzymanej zapomogi.

No tak, on zrobił dużo dobrego dla niej i może więcej niż przypuszcza, bo ochronił ją od Łuki, narzekań i pretensyj matki. Dał jej byt pewny, wolność myśli i działania, gdyż poza służbą, nikt o nic niema prawa do niej i jest panią swej woli i chęci.

Jeśli jednak tyle dobrego zrobił, będzie wymagał wdzięczności, gdyż bezinteresownie nie zajmował się jej losem... I czego może od niej nawzajem wymagać?

Czego?... I nagle cała oblała się purpurą i wzdrygnęła z oburzenia... Błysnęło jej w myśli, że zechce, aby została jego kochanką; ażeby została jak ta Bronka Jaktorska, jej koleżanka z dyrekcyi, i ulubienicą i protegowaną.

Ale to nigdy, nigdy się nie stanie; nie sprzeda się za żadne protekcye, pozycye, zapomogi pieniężne, za żadne względy.

I ta myśl o miłostkach była dla niej tak upokarzającą, wstrętną, że szybko zaczęła się ubierać.

W miejsce chwilowej wdzięczności, teraz odczuła żal do niego, gdyż przez udzielenie jej miejsca kasyerki rzucił na nią podejrzenie zdrady, a przez troskliwość i polecenia nadał jej pozory swej ulubienicy. Ale ona musi sprostować, oczyścić swą opinię wobec kolegów i świata kolejowego. Więc dlatego Flegem tak jej dokuczał, a naczelnikowa traktowała ją lekceważąco. A gdyby tak wyznać wszystko przed naczelnikiem? Przypomniała sobie jednak jego ciekawe oczy, śledzące ją, które zapalały się, ogarniając ją całą.

A może Stański?... Lecz on pierwszy rzucił podejrzenie, on sam czuje się pokrzywdzony przez nią! Zostaje Jarkowski i Chrustowski. Jarkowski przywita i wysłucha jej ze złośliwym uśmiechem, a skłopotany domowemi sprawami, może ją wydrwi i wyśmieje. Chrustowskiego zaś prawie nie zna i z jakiego powodu on ma się zajmować jej sprawami?

Nikogo tu niema i poczuła straszną pustkę; tam w mieście była matka, Wapieński, a tu nikt. To osamotnienie i poczucie, że jest otoczona nieprzyjaznymi ludźmi, przygnębiły ją i siadła bezwładna przy oknie.

Zwolna zaczęła się w niej budzić energia do życia, do walki, do samodzielności. Więc cóż z tego, że inni ją potępiają? rzucają potępienie i oszczerstwa? Ona jest niewinną i nikt niema prawa zaglądać w jej życie prywatne. Czyż ma pozwolić na to, ażeby lada podejrzenie obcych ludzi ją przygnębiało i jak dziecko ma się ukrywać za spódnicą matki? Niech myślą co chcą i jak chcą, to jej nic nie obchodzi? A nawet gdyby ją łączyły bliższe stosunki z inspektorem, co to może obchodzić innych?... Opinia!?—uśmiechnęła się drwiąco—iluż ludzi ona potępia, depce, odsądza od czci i wiary? Cóż ci ludzie mówią o socyalistach? jak ich traktują? jak się o nich wyrażają? A przecież socyaliści walczą za ideę równości i sprawiedliwości, chcą usunąć nadużycia i wyzysk.

I już pogodna, pełna wiary we własne siły, wzięła do ręki „Przegląd robotniczy“ i z wielkiem zainteresowaniem czytała artykuł: „Czego chcemy?“ Była to gorąca odezwa, nie tyle rozumowa i krytyczna, jak płomienna wiarą w przyszłość i uszczęśliwienie ludzi wszystkich przez ustrój socyalistyczny.

Wtem posłyszała lekkie pukanie w drzwi wejściowe i poruszenie klamką. Janina niechętnie odłożyła książkę, w jaskrawej, czerwonej okładce, i poszła odsunąć zasuwkę.

Otworzywszy drzwi, ujrzała przed sobą inspektora Lerche, który w ubraniu wizytowem, skłonił się jej głęboko i z uśmiechem przyjaźni wyciągnął rękę na powitanie. Jance zabiło serce mocniej, czuła, że się mieni na twarzy, ale szybko zmusiła się do spokoju i uścisnąwszy podaną rękę, powiedziała spokojnym głosem:

— Proszę pana inspektora — wskazała na drzwi do pokoju wiodące — do pewnego stopnia ma pan prawo tu wejść.

— Ale któż mówi o prawie — uśmiechnął się, składając zarzutkę na koszu w kuchni — uważałem za swój obowiązek złożyć pani wizytę w jej nowem mieszkaniu.

Janka weszła do pokoju, a wkrótce wszedł Lerche, trzymając w ręce bukiet z pięknych róż i bombonierkę z cukierkami.

— Pozwoli pani, że ofiaruję te drobnostki z życzeniem szczęścia i powodzenia na nowej posadzie.

— Dziękuję panu inspektorowi—odpowiedziała z chłodną grzecznością.

Bukiet róż włożyła w szklankę z wodą, wskazała mu krzesło, sama usiadła za stolikiem i patrząc na kwiaty ozwała się:

— Jaka szkoda, że róże te ścięto z krzaku. Lubię bardzo kwiaty, ale rosnące swobodnie, w słońcu, i nie rozumiem tego instynktu niszczenia, zrywania.

Spojrzał na nią trochę zdziwiony, bo spodziewał się pewnej pochwały za dobrane róże i rzekł sentencyonalnie:

— Kwiaty są przeznaczone na to, ażeby ludziom sprawiać przyjemność.

— Nie wiedziałam — uśmiechnęła się — że pan wyznaje zasadę, iż człowiek jest centralnym punktem, około którego obraca się przyroda i tylko jemu ma służyć.

— Ostatecznie tak się ułożyły stosunki na ziemi, zapanowaliśmy nad naturą i ona nam służy.

— Zapewne tak samo myśli lew, zabijając tygrysa, tygrys zjadając bawoła, a bawół trawę.

— A cóż pani myśli? — spytał, chmurząc się lekko.

— Że w naturze, my ludzie jesteśmy tylko jednem ogniwem łańcucha rozwoju; że każde zwierzę, drzewo, kwiat ma takie same prawo do życia jak my, bo zresztą każde z nich ciężko walczy o swój byt.

— Przyznaję szczerze, że pogląd pani mnie zadziwia, to dowodzi, że pani nietylko dużo czytała, ale co ważniejsze przemyślała — i patrzał na nią rozradowany, że nie znalazł jej banalną i płytką, a chcąc przydłużyć rozmowę, dodał: — czy i w stosunkach ludzkich stoi pani na stanowisku przyrodniczem?

— Przecież nie na anielskiem lub nadziemskiem — uśmiechnęła się wesoło — każdy człowiek ma prawo najzupełniejsze do wszechstronnego rozwoju i dobrobytu ciała i umysłu.

— Ach to utopia... marzenia o raju — mówił z lekką ironią — kiedyś czytałem Ovena, Saint-Simona, Fouriera. Szlachetni marzyciele, a świat poszedł swoją drogą i zawsze będą niewolnicy i panowie, podwładni i przełożeni.

Spojrzała drwiąco na niego i powiedziała z odcieniem ironii:

— Nie dziwię się wcale, że panu inspektorowi taki porządek rzeczy podoba się... ale milionom, jeśli nie miliardom, pracującym tylko na to, ażeby żyć bardzo nędznie, ten porządek wydaje się niesprawiedliwym i wstrętnym.

— Ach, prawda.. pani jest przecież socyalistką — uśmiechnął się pobłażliwie — i cóż za lekarstwo wymyślił socyalizm?... Czy pozwoli mi pani zapalić papierosa?

— Proszę, niech pan pali..

— No, a to lekarstwo? — spytał pewny siebie, przekonany, że znajdzie stosowne argumenta, ażeby wykazać nikłość marzeń socyalistycznych.

— Leczenie tak śmiertelnej choroby jak kapitalizm, byłoby bezcelowe — mówiła Janka z powagą — żadne leki, amputacye, środki łagodzące nie pomogą, tylko przewloką chorobę. Jest tylko jeden, niezawodny sposób...

— A ten nazywa się rewolucyą! — zaśmiał się lekceważąco.

Janka spojrzała z niechęcią na niego i w myśli błysnęło jej, czy wogóle warto z nim mówić o tych sprawach. Jeśli jednak zdoła go przekonać, a przynajmniej usunąć jego fałszywe pojęcia, przecież i to ma swoje znaczenie. Nie umiała też zapanować nad rozdrażnieniem z powodu jego śmiechu i rzekła poważnie:

— Tak samo śmiano się na dworze Ludwika XVI., gdy lud ginął z głodu i wyzysku.

— Więc pani naprawdę wierzy w rewolucyę? — zdziwił się.

— Wiara jest ślepą — uśmiechnęła się —i ja nie wierzę, ale widzę. Spójrz pan na Królestwo, Rosyę... rozejrzyj się pan u nas bez okularów optymizmu i biurokratycznej powagi, a dojrzy pan bez trudu, że stary porządek świata pęka, łamie się i rozsypuje w gruzy.

— No, przypuśćmy, że tak jest, jakkolwiek ja tego nie widzę, są tylko bardzo słabe usiłowania... i myśli pani, że socyalizm przyniesie szczęście?

— Naturalnie — powiedziała z żywością — ale po cóż mam słów dobierać? — wstała i wzięła z okna porzuconą książkę, odwróciła kilka kartek i czytała:

> „ustrój socyalistyczny będzie prawdziwem wyzwoleniem ludzkiego społeczeństwa od nierówności między ludźmi, od wyzysku jednych ludzi przez drugich, od panowania jednych nad drugimi, od ucisku podbitych narodów przez narody zaborcze, od upośledzenia kobiet przez panowanie płci męskiej, wyzwolenie od prześladowań za wiarę, wyznanie przekonania...“

— Słyszał pan?

— Tak jest... pozwoli mi pani książkę tę? zobaczę tytuł — i odczytawszy dodał: — pani zachęciła mnie do bliższego poznania waszych zasad i marzeń. Na przyszły raz pomówimy obszerniej... a teraz może wrócimy do rzeczywistości — uśmiechnął się — jakże pani podoba się tutaj?

— Mnie? — usiadła i po chwili namysłu odpowiedziała: — czy mogę być szczerą?

— Tego tylko pragnę.

— Więc jest mi nieszczególnie... nawet źle...

— Czyż to możliwe? — nachmurzył się gniewnie — obraził kto panią? Może naczelnik lub inny z urzędników? Proszę, mów pani.

— Na nikogo nie mogę się skarżyć... a przyczyną tego, że czuję się tu źle, jest najpierw utarty, a tak poniżający pogląd na pracę kobiet.

— Nie rozumiem dobrze... może mi pani wytłomaczy — zapalił świeżego papierosa.

— Bardzo chętnie... Nie będę mówiła o innych zawodach, tylko o naszym. Otóż na pracujące u nas kobiety nie patrzy się, jako na człowieka zarabiającego pracą na życie, ale jako na kobietę, której względy można kupić tym lub innym sposobem.

— No, no, to już przesada—zaśmiał się szczerze — u nas pracują i kobiety starsze, wdowy i któż ubiegałby się o ich względy?

— Więc mówmy o młodszych...

— No, te ładne, młode, widzi pani, czy one byłyby, czy nie byłyby w urzędzie, zawsze znalazłyby wielbicieli.

— Niechże mnie pan wysłucha — powiedziała zniecierpliwiona żartami — mówię tylko o urzędzie... Biorę przykład ze siebie... Zaledwie otrzymałam miejsce kasyerki w Horyni, już na drugi dzień rzucono na mnie podejrzenie, że zdradziłam pierwszą schadzkę w mamy mieszkaniu i tylko za to zostałam kasyerką. A przecież pan inspektor wie najlepiej, że ani jednem słowem nie zdradziłam nikogo i pan już był dokładnie obznajomiony z tą sprawą.

— To prawda... i kto podejrzywał panią?... Zapewne ci, co zostali ukarani, czy tak?

— Nie idzie o osoby... mam wrażenie, że wszyscy mnie o to posądzają — mówiła z żalem — i tylko pan jeden może wyświetlić tę sprawę. Powiedz pan, kto powiedział?

Spojrzała na niego proszącemi oczyma i widać było, jak pragnie odpowiedzi.

Inspektora rozczuliła jej skarga, a jeszcze bardziej jej wzrok, poruszył się niespokojnie, przez jedno mgnienie miał ochotę powiedzieć prawdę, ale zapanował nad uczuciem i pomyślał, że tak tanio sekretu nie sprzeda, jeśli wogóle ma sprzedać, i odpowiedział tonem grzecznym, ale stanowczym:

— Bardzo mi przykro, ale to jest tajemnica urzędowa — a widząc jej rozczarowanie — gdyby mi jednak pani wymieniła osoby, rozgłaszające to oszczerstwo, potrafiłbym zmusić je do milczenia...

— Osób nie wymienię... zresztą tę plotkę powtarzają wszyscy i jedynym sposobem byłoby wyjawienie nazwiska prawdziwego zdrajcy. Powiedz pan... bardzo proszę — przemówiła czule.

Lecz inspektor był już uzbrojony na jej prośby i odpowiedział po krótkim namyśle:

— Coś podobnego mógłbym powiedzieć tylko osobie, którejbym ufał bezwzględnie np. żonie, przyjaciółce oddanej...

— A mnie?

— Jesteśmy zbyt obcy sobie i dalecy... może kiedyś, kiedyś... ale nie dziś, nie teraz.

Janka nachmurzona umilkła; tak się spodziewała, że on ulegnie jej prośbie i zawiodła się, a słowa jego „kiedyś, kiedyś“, a zwłaszcza błyszczące oczy, które ją całą obejmowały, wzbudziły niechęć i podejrzenia.

Inspektor przerwał to trochę przedługie milczenie:

— Czy tylko z powodu tej plotki jest pani tu źle?

— O nie!... W innym ustroju społecznym, gdzie w kobiecie szanowanoby człowieka pracującego, nie dziwiłoby to nikogo i nie podejrzewanoby, że jakiś znajomy czy przyjaciel ułatwia kobiecie pierwsze chwile pobytu w obcem miejscu.

— A tu, co się stało? — spytał zaciekawiony, domyślił się bowiem, że o nim będzie mowa.

— Tu wmieszanie się pana inspektora podało mnię w ubliżające podejrzenie... I naprawdę mam żal do pana za te meble, za protegowanie mnie u naczelnika, kontrolora, służby... Muszę wysłuchiwać aluzyj, szeptów, spojrzeń i cała brzydota podejrzeń niskich uciska mnie, gniecie, gnębi.

Inspektor spodziewał się podziękowań, wdzięczności, czułych słów, to też skarga Janki zaskoczyła go niespodzianie i nie wchodząc w jej psychologię, rzekł dość porywczo:

— Za moje starania o ulżenie pani spotyka mnie wymówka... Przyznam się, że tego nie spodziewałem się wcale. Chciałem jak najlepiej, a nie moja wina, że plotki głupie wypaczyły moje zamiary.

— Ja też nie tyle winię pana, ile ten pogląd utarty, że jeśli się coś czyni dla młodej kobiety, to pobudkę upatrują w celach brudnych, ubliżających godności kobiety.

— Więc dlaczegóż pani mnie wini? — spytał tonem wyrzutu.

— Pan przecież starszy, bardziej doświadczony, znał pan Horynię i ludzi na stacyi.

— Znam, nie znam—uśmiechnął się — przyjeżdżam jako przełożony i po prostu poleciłem, że to a to ma być zrobione. Zresztą czyż pani tak dużo zależy na tych ludziach? Co znaczy ich opinia wobec tego, że pani nie poczuwa się do żadnej winy.

— No, tak, zapewne... i gdybym była niezależną, drwiłabym z ich opinii i plotek... ale ja muszę spotykać się z tymi ludźmi i muszę znosić ich przymówki lub dumne i lekceważące miny kobiet.

— Ach, to pewnie naczelnikowa — zaśmiał się - ależ to zaściankowa powaga i cnota, czy opłaci się zwracać na nią uwagę?

— Tak pan mówi, bo nagniotki sąsiada nas nie bolą.

— O, przepraszam panią — spojrzał w jej oczy — słowa moje idą w parze z czynem. Pani jest zupełnie niezawisłą i samodzielną, nikt prócz kontrolora kasowego nie będzie mieszał się w czynności pani. Czy dobrze?

— Nie, ja nie chcę żadnych ulg, wyjątków. Sama sobie poradzę z tymi ludźmi.. tylko, gdyby mi pan mógł powiedzieć, kto zdradził?

— Na razie nie mogę, może później... A jakże ze służbą nocną?

— Ta kasa okropna — wzdrygnęła się na wspomnienie.

— Domyślam się... Dlaczegóż pani od pierwszej do piątej nie sypia tu, u siebie?

— Regulamin zabrania i nie jestem pewna, czy się obudzę.

— Ach, regulamin!? — uśmiechnął się — ten pani nie zobowiązuje, a co do obudzenia, to rzecz portyera nocnego.

— Nie, będę już w kasie — upierała się raczej z zasady, bo czuła wstręt do tego pokoju kasowego.

— Dzieciństwo... Tu będzie pani wygodniej. A czy naczelnikowi i urzędnikom mam powiedzieć, że pani nie zdradziła?

— Nie, nie chcę... I wogóle proszę pana inspektora, niech mnie pan nie protegnje, ani się nie opiekuje. Chcę pracować sama i brać zapłatę należną mi za moją osobistą pracę.

Inspektor poczerwieniał z gniewu, odetchnął głęboko i musnąwszy wąsy mówił zwolna:

— Pani zbyt pospiesznie odtrącasz moją pomoc... to może pociągnąć nieszczególne następstwa. Namyśl się pani!

— Już się namyśliłam — powiedziała stanowczo — jeśli moja praca nic nie warta, niech mnie odprawią, a jeśli potrzebna, niech mnie uważają za równą sobie.

— Tak?... Teraz na mnie kolej być szczerym z panią. Dobrze?

Janka skinęła głową, namarszczyła jasne czoło i patrzała obojętnie na swego gościa.

— Nie taję tego wcale, że chciałem być w przyjaźni z panią, a nawet w pewnej zażyłości. Pomijając, że pani piękna, pociągnęła mnie dusza pani, szczera i szlachetna. Pragnąłem ulżyć pani, uchronić od przykrości i złośliwego dokuczania. Z tym zamiarem przyszedłem do pani, a spotkała mnie niezasłużona odprawa. Czy pani czuje taki wstręt do mnie?

— Wstrętu nie czuję, ale znów zawdzięczać wszystko komuś nie sobie, gdy się szczerze pracuje, jest dla mnie rzeczą przykrą i upokarzającą... Z tego powodu zrzekam się protekcyi pana inspektora.



Otworzywszy drzwi, ujrzała przed sobą inspektora

Powiedziała te słowa tonem tak spokojnym i stanowczym, że inspektor czuł, iż ona zdania swego nie zmieni. W pierwszej chwili pomyślał o zemście, wystarczy słów kilka naczelnikowi i kontrolorowi, ażeby poczuła cały ciężar swej odmowy. Lecz widząc ją tak piękną, poważną, a tak zimną i niedostępną, uczuł żywy żal za swemi marzeniami, i w tej chwili podobała mu się bardziej, aniżeli kiedykolwiek dawniej. Tyle zrobił już dla niej, tak kołysały go rozkoszne marzenia o niej i teraz, gdy zdawało mu się, że jest tak bliski, znów ma ją utracić?

Opanował swe rozdrażnienie i przemówił, siląc się na spokój:

— Zastosuję się do życzenia pani... sądzę jednak, że będzie mi wolno od czasu do czasu odwiedzić panią.

— Jeśli panu zależy na tem, to może pan przyjść.

— A nie będę słyszał wymówki, że moje wizyty powodują plotki?

— Ach, cóż mnie ludzie i ich opinia obchodzą! — zawołała zniecierpliwiona — każdy odpowiada za siebie.

Zamienili jeszcze kilka słów banalnych frazesów, pożegnali się ceremonialnie i inspektor wyszedł.

W długich korytarzach dostrzegł ciekawe spojrzenia, które go śledziły, a uszu jego doszły ciche szepty mieszkańców. Czego chcą ci ludzie? pomyślał z gniewem, czyż mi nie wolno odwiedzić znajomą? Sądząc z przykrości, której doznał, zrozumiał, że i Jankę mogło zniecierpliwić podobne śledzenie. Wybrałem złe mieszkanie dla niej, westchnął, ale że na razie nie było innego... uspokoił się wkrótce.

Zaledwie wyszedł z kamienicy, dojrzał na schodkach kamiennych dworca naczelnika, który gromkim głosem polecał oczyszczenie placu, gdzie zwykle stawały furmanki pasażerów.

Widząc inspektora skłonił się nisko i zawołał z przyjazną wymówką:

— Czy godzi się panie inspektorze, tak zaniedbywać przyjaciół? Moja żona zobaczyła pana inspektora wysiadającego z pociągu. Kawa już gotowa, na stole, a my szukamy, chodzimy, pytamy... wreszcie jest pan inspektor — i ściskał serdecznie podaną sobie rękę.

— Przyjechałem w interesie służbowym... i nie miałem czasu złożyć pani mego uszanowania.

— O, my nie puścimy tak prędko pana inspektora, toż pan taki nam gość miły i pożądany.

— Istotnie nie mam czasu dzisiaj — mówił inspektor, idąc ku dworcowi.

— Chyba że pan inspektor gniewa się na nas?

Lerche, chcąc uniknąć pozoru, że przyjechał jedynie do Janki, zgodził się wreszcie na wizytę. W saloniku oczekiwała gościa naczelnikowa, z córką Alisią, obie wystrojone. Matka w ciemnej sukni, poważnej, Alisia w lekkiej, batyścikowej, przez którą do światła przebłyskiwały pulchne, toczone, różowe ręce, z lekkiem wygięciem w łokciach.

— Nareszcie przyszedł pan inspektor — zawołała naczelnikowa z najprzyjemniejszym uśmiechem i podała swą białą, zwiędłą rękę.

— Uczyniłem zadość tylko moim gorącym chęciom — skłonił się, a zwracając się do Alisi, rzekł: — patrząc na panią, nie potrzebuję pytać o zdrowie i humor — i podał rękę do krótkiego uścisku.

Zaczęła się rozmowa o pogodzie, słońcu, mieście itd., nie tyle banalna, ile nudna, jakkolwiek bardzo często przerywana uśmiechem naczelnikowej i półgłośnym śmiechem Alisi, która wiedziała, że ma białe, ładne zęby i ponętne dołki na okrągłej, rumianej twarzy.

Lerche mimowolnie porównywał treść i ton tej rozmowy z poprzednią u Janki. I po Jance ich frazesy, pytania, dowcipy wydały mu się mdłe i ckliwe.

Wszyscy przeszli do jadalnego pokoju. Naturalnie Alisia, ażeby olśnić inspektora swoją gospodarnością, sama nalewała kawę i herbatę, a nawet pochwaliła się doskonałemi ciastkami swej roboty.

Naczelnikowa nie mogła jednak znieść spokojnie, że inspektor Lerche, upatrzony już na zięcia, pozwolił sobie na to, że wpierw poszedł do Traweckiej, socyalistki, zanim się przywitał z nią i z Alisią. To też w czasie rozmowy odezwała się żartobliwie, chociaż czuć było rozgoryczenie:

— Czy nie mógłby mi pan inspektor wytłomaczyć, co też biedna Horynia zawiniła dyrekcyi kolejowej?

— Nic o tem nie wiem — odpowiedział niedbale, jakkolwiek czuł przygotowany pocisk — Horynia jest traktowana na równi z innemi stacyami.

— To jednak dziwne, że właśnie Horynię obrano za miejsce pobytu dla ludzi karygodnych, będących zakałą dla urzędników kolejowych.

— Zdaje się, że pani jest lepiej poinformowana odemnie. Urzędnicy karygodni i jak pani nazwała, będący zakałą, nie są cierpiani przy kolei.

Naczelnik rzucał błagające spojrzenia na żonę, potniał, dławiła go kawa, bo czuł zbliżającą się burzę, a chcąc temu zapobiedz, odchrząknął głośno i rzekł:

— Moja Fipciu droga, to są sprawy kolejowe,

a o nich słyszy pan inspektor po całych dniach. Po cóż nudzić naszego kochanego gościa koleją?

— Czy mam cię pytać o temat do rozmowy? — zaśmiała się szyderczo. Jestem pewna, że pan inspektor zostawiłby żonie przynajmniej tę swobodę.

— Ależ naturalnie — uśmiechnął się Lerche — w stosunkach towarzyskich każdy ma swobodę swych przekonań.

— Słyszysz Klemensie? upomniała żona — otóż wracając do rzeczy... Dyrekcya przysłała tu, o ile słyszałam, za socyalizm asystenta Stańskiego, a w kilka dni później znów socyalistkę Trawecką. Czy to się godzi?

— To z rozporządzenia pana hofrata, na to niema rady... ale naczelniku, jakże tam ze Stańskim?

— Hm.. Stański? — zawahał się, już miał powiedzieć coś niekorzystnego, ale na przekór żonie, wymyślającej na socyalistów, rzekł: Prawdę mówiąc jest to urzędnik dbały i zna służbę... Sądzę, że za miesiąc lub mało co dłużej może pełnić obowiązkową służbę.

— No, tak — mówił od niechcenia inspektor Lerche — ale swoją drogą on zapewne i tu ludzi bałamuci?

Zrozumiał naczelnik wskazówkę, lecz zanim zdążył coś powiedzieć, odezwała się żona:

— Klemens jest jednostronny, on widzi tylko służbę i patrzy na jej wykonanie... a tu tymczasem należałoby rozciągnąć kontrolę, czy on ludzi nie buntuje? czy ich nie gorszy? Wiem napewno, że do kościoła wcale nie chodzi, i jaki to przykład dla niższej, ciemnej służby?

Inspektor wysłuchał obojętnie tej przemowy i spytał naczelnika:

— Czy Stański żyje w przyjaźni ze swymi kolegami?

— Hm... jak to zwykle na stacyach, żyją zgodnie ze sobą.

— To dziwne — rzekła naczelnikowa — że ten socyalista unika wyraźnie socyalistki kasyerki.

Inspektor z przyjemnością posłyszał tę nowinę, był już bowiem, może bezwiednie, zazdrosnym o Jankę, a przypomniawszy sobie jej skargi o zdradę, wywnioskował, że zapewne Stański podejrzewa ją o to i z tego powodu nie znają się obecnie ze sobą. Zrobiło mu się żal Janki i chcąc wynagrodzić jej krzywdę, rzekł tonem urzędowym:

— Stański nie miał zbyt dobrej opinii u poprzednich przełożonych... ale może nauczka poskutkowała. Co do kasyerki Traweckiej, ta jak Piłat w credo wpadła w tę chryję socyalistyczną, zupełnie przypadkowo. Wiem, bo sam prowadziłem dochodzenie dyscyplinarne.

— Czy dzisiaj także? — spytała z niewinną miną Alisia.

— Tak jest, proszę pani... bo sprawa nie skończyła się.

— I zapewne nie skończy się tak prędko — dodała złośliwie naczelnikowa.

— To zależy od zeznań świadków.

— Ach, wam panowie nigdy dowierzać nie można — zaśmiała się pani naczelnikowa — wiem to z doświadczenia, bo mąż jedzie sobie pohulać, a zawsze upewnia mnie, że w sprawach służbowych.

— To odkrycie pani nie jest winą, ani dyrekcyi, ani służby — uśmiechnął się inspektor Lerche.

— Więc czyją? — spytała Alisia.

— Spytaj pani ojca.

— O, wiem już — zaśmiała się pani naczelnikowa — sądzi pan, że jego niezręczność zdradziła go... otóż myli się pan, to zaleta żony, bo każda z nas wie, kiedy mąż blaguje, a kiedy mówi prawdę...

— Jaka szkoda — powiedziała Alisia z miną naiwną — że pan nie jest żonaty.

— A to dlaczego? — zaśmiał się.

— Żona pana powiedziałaby nam prawdę o sprawach służbowych z kasyerką...

— Powtórzyłaby tylko moje słowa.

— Ej, chyba nie — pogroziła mu ręką — wiem przecież, że tatuś wzywa urzędników do swego biura i dopiero piszą się tam protokóły, czy co innego.

Mama, słuchając córki, promieniała z wielkiego zadowolenia i patrzała z tryumfem na inspektora, ale ten zapalając papierosa, odpowiedział z chłodną grzecznością:

— Urzędnika byłbym wezwał, ale względem urzędniczek obowiązują zwykłe formy grzeczności.

— Tak Alisiu nakazuje regulamin służbowy — zaśmiała się naczelnikowa.

Te aluzye i docinki zniecierpliwiły inspektora, a chcąc położyć tamę tym nagabywaniom, zwrócił się do naczelnika:

— Prosiłbym pana kazać wyczyścić pokój kasowy, wygubić robactwo, no i zmienić sofę, bo ta, którą widziałem, byłaby za lichą do zajazdu żydowskiego.

— Zrobi się to... sam już myślałem o tem.

— Jak sprawia się nowa kasyerka? — spytał tonem urzędowym.

— Dotychczas pełni służbę dobrze.

— Tylko żadnej pobłażliwości — dodał, wiedząc, że Janka tego chce, a z drugiej strony te słowa chroniły ją i jego od podejrzeń — niech pilnuje regulaminu, jak każdy inny funkcyonaryusz kolejowy.

— Dobrze, panie inspektorze.

Przeszli do saloniku i po krótkiej rozmowie pożegnał Lerche obie panie, które wymogły na nim przyrzeczenie, że przy pierwszej sposobności znów ich odwiedzi.

Po odejściu mężczyzn, gdy matka z córką zajęte były porządkowaniem stołu w pokoju jadalnym, odezwała się matka.

— Teraz sama nie wiem, czy on z nią romansuje, czy nie?

— Ach, to mnie mało obchodzi — odmruknęła Alisia — a jeśli mu się podoba córka konduktora, niech sobie romansuje.

— Głupstwa gadasz — rzekła matka surowo — on ma pięć tysięcy dwieście koron pensyi, czy rozumiesz?

— Słyszę... i co mi z tego?

— To, że on jest świetną partyą i wcale mi się nie podobała ta jego wizyta u niej.

— Mama dała mu to poznać wyraźnie.

— Bo też to niesłychane rzeczy, ażeby człowiek na takiem stanowisku, tak dalece się zapomniał i w oczach wszystkich szedł do samotnie mieszkającej dziewczyny. Czyż nie mógł wstąpić do nas, zawołać ją do biura?

— Mama zapomina, że grzeczność obowiązuje — powiedziała z przekąsem.

— Hm... widzisz Alisiu, z drugiej strony te jego słowa o regulaminie, wzbronienie pobłażliwości, świadczą, że nic ich nie łączy.

— I ja tak myślę mamo. Na drugi raz nie wspominajmy ani słowa o niej, bo gotów myśleć, że jestem zazdrosna o jakąś tam socyalistkę.

— O, ty jesteś dyplomatka — zaśmiała się matka i ucałowały się serdecznie.

XII.

Inspektor Lerche wsiadł do przedziału pierwszej klasy. Najpierw z pewną przykrością myślał o naczelnikowej i Alisi. No, tę oddanoby mi z pocałowaniem ręki, ale czy to żona? czy towarzyszka w życiu? czy współczująca z mężem?... Tyle, że żona z nazwiska, ze sypialni i kuchni, a pozatem ubierze się i będzie z pewną dumą reprezentowała dom. Ach, gdyby oni wiedzieli? — uśmiechnął się ironicznie... Dawno temu, bardzo dawno, jeszcze jako student prawa w Wiedniu zakochał się w młodej i ładnej dziewczynie. Grywała w teatrze ludowym, na „Josephstadt“ przecudownie subretki, a taka była cnotliwa, taka nieprzystępna, że raz po nocnej hulance oświadczył się, no i ożenił się. Ale ją pociągał teatr, oklaski, scena, a wszystko to było mu wstrętne, no i po pięciu miesiącach, ona wyjechała na występy do Ameryki, bez żadnej wiadomości, pożegnania, bez słowa dobrego lub złego... I tylko od czasu do czasu czytywał w teatralnym dzienniku, że Mimi Kratzer, jej nazwisko panieńskie, święci tryumfy w Hamburgu, Ostendzie, New-Yorku, Bostonie, Chicago... Zrażony do kobiet, zawiedziony i porzucony, nigdy, nikomu nie wspomniał o tem, ale ślub był, ale ksiądz związał ręce stułą... Nigdy nie zamierzał się żenić powtórnie, a pierwsze to małżeństwo z Mimi Kratzer, wydawało się nawet jemu snem, gorączkowem majaczeniem, wytworem chorobliwej wyobraźni. Była niegdyś, zniknęła, życie przykryło ją grubą warstwą kurzu i pleśnią zapomnienia.

I dlaczego dziś właśnie wstała ta Mimi w całym blasku aktorki, kochanki i żony. Tyle lat, tyle nowych wrażeń i uczuć, a ona staje żywa, z tym uśmiechem chytrej naiwności, z temi oczyma, patrzącemi z dziecięcym podziwem na ten świat i ludzi...

Jako człowiek rozumny i praktyczny wywnioskował, że Mimi zjawiła się tylko z tego powodu w jego umyśle, iż Alisię narzucano mu na żonę. Alisia, ta pulchniutka bułeczka, która otwierając swą rybią, okrągłą buzię, umie jednak dociąć do żywego, tak jak jej kwaśna mama.

I co im to wadzi, że on poszedł do Janki? Czy jest po słowie? Czy mu nie wolno? Co one upatrzyły sobie do niej?

Przecież ta Janka o całe niebo stoi wyżej od nich. Z jakim taktem przyjęła go u siebie, bez żadnych nadskakiwań, zalecań, umizgów... no i wprost odrzuciła jego pomoc i protekcyę. To harda dusza, taka nie złakomi się na zapomogę, podwyższenie pensyi, na lekką służbę kolejową. Przywołał przed swe oczy jej postać wiotką, harmonijną, widział te nieposłuszne, wijące się włosy, które promieniały złotem, gdy szła ku oknu po książkę. I te jej oczy poważne, surowe, z blaskami myśli głębszej, sięgającej gdzieś w nieuchwytną, promienną przyszłość, gdy czytała mu ustęp o socyalizmie i szczęściu przyszłego ustroju. Wytężył słuch, aby pochwycić ton jej głosu często melodyjny, znów szorstki i surowy.

I znów z postacią Janki poczęła się mieszać Mimi, ta jego pierwsza miłość zdeptana i poszarpana, że wspomnienia jej były jak przędza pajęcza na wietrze, która rwie się i pęka i znów z mozołem nawiązuje się w całość.

Czuł w sobie dziwną słodycz, dobroć, wszystko go radowało, wydawało się pięknem i jasnem. Nie miał w sobie teraz żadnej goryczy, bólu, ambicyi i zdawało mu się, że wszedł w świat promienny, cichy, pełen blasków szczęścia i radości.

Pociąg przystanął na stacyi; inspektor wyjrzał oknem i odruchowo, jako urzędnik, zaczął śledzić pełniących służbę ruchu. Urzędnicy i służba, widząc go w oknie wagonu, kłaniali mu się nisko i czynności urzędowe załatwiali szybko i dokładnie.

Z marzeń poprzednich wytrzeźwiał zupełnie, czuł się znów inspektorem, którego gorliwość wywołuje pochwały hofrata, a obawę podwładnych. Przypomniał sobie, że wczoraj wysłał polecenie do naczelnika stacyi, wyszedł z wagonu i spytał o naczelnika.

— W tej chwili, w kasie — odpowiedział usłużnie zapytany.

Skierował się do biura kasowego i ujrzał przed okienkiem z piętnastu pasażerów tłoczących się o bilety. Nachmurzył się, gdyż pociąg za trzy minuty miał ruszyć, a według regulaminu kasa biletowa zamyka się na pięć minut przed odejściem pociągu.

Kasyerka z wypiekami na młodej twarzy uwijała się, ażeby nadążyć z wydaniem biletów. W tej chwili wyszedł naczelnik, a widząc inspektora wyprostował się, jak żołnierz w szeregu i złożył ukłon.

— Co znaczą ci ludzie? — spytał inspektor Lerche wskazując na pasażerów — kiedy kasa została otwarta?

— Na czterdzieści pięć minut, ale był wielki natłok.

— Więc należało otworzyć przed godziną — rzekł surowo — czy wczorajsze polecenie spełnione?

— Tak jest, panie inspektorze.

Skinął głową na znak pożegnania, jeszcze raz spojrzał chmurnie na okienko przy kasie i poszedł.

Widok kasyerki przypomniał mu Jankę, i obniżył ją w jego oczach. Bo i cóż to jest kasyerka? Niema nawet rangi urzędnika, manipulantka zwykła, a stroi takie miny, przemawia tak śmiało, a nawet lekceważąco, i to wobec niego, inspektora... już on ją nauczy uległości i szacunku.

Rozsiadł się wygodnie, zapalił papierosa i postanowił z całą rozwagą dojrzałego człowieka rozpatrzeć swój stosunek do Janki. Najpierwsze i najważniejsze pytanie, czy ona mu ulegnie?... I napadły go obawy niepowodzenia tak silne, że zupełnie zwątpił, lecz powiedział sobie z uśmiechem wpływowego i zamożnego człowieka, nie będzie ta, będzie druga.

I nagle poczuł niemal fizyczny ból na myśl, że ona nigdy, nigdy nie uśmiechnie się do niego, nie spojrzy na niego przyjaźnie, że on zawsze będzie dla niej obcym i dalekim. To jakieś urojenie, opętanie! Córka nadkonduktora, zwykła manipulantka, w stosunku do niego młoda, niedoświadczona dziewczyna, która mogłaby być jego córką, i ona opiera się!? Grymasi?!

To niemożliwe, a jednak czuł w głębi duszy, że nie będzie jego kochanką, że to nie jest zwykła, przeciętna dziewczyna i że on musi wpierw znaleść klucz do jej serca, do duszy, chcąc ją zniewolić.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Morderczy zamach na posła.

Wielkie wrażenie, zwłaszcza wśród kół socyalistycznych, wywołała wiadomość, iż w czwartek wieczorem dokonany został morderczy zamach na



Morderczy zamach na posła: Poseł Engelbert Pernerstorfer.

posła do Rady państwa, Engelberta Pernerstorfera, jednego z wybitnych przywódców partyi socyalno-demokratycznej, redaktora „Arbeiter Zeitung".

Napad miał miejsce w bramie kamienicy, w której mieści się redakcya dziennika „Arbeiter Zeitung". W chwili, gdy poseł Pernerstorfer wszedł do owej bramy, napadł go jakiś człowiek i dał doń dwa strzały rewolwerowe. Szczęśliwym trafem p. Pernerstorfer otrzymał tylko lekką i nieszkodliwą kontuzyę w ramię, kule zaś, choć przedziurawiły paltot w dwóch miejscach, nie zraniły napadniętego wcale.

Napastnik, dokonawszy zamachu, skierował rewolwer do własnej skroni, a wystrzeliwszy zranił się ciężko. Mimo to przytomności nie stracił i gdy go po aresztowaniu przesłuchiwano, zeznał, iż chciał posła Pernerstorfera zastrzelić. Ranny napastnik nazywa się Ignacy Pollak, handlarz brylantów, który — jak się następnie okazało — jest chory umysłowo i cierpi na manię prześladowczą. Za szczególnych wrogów uważa właśnie p. Pernerstorfera i p. dr. Adlera.

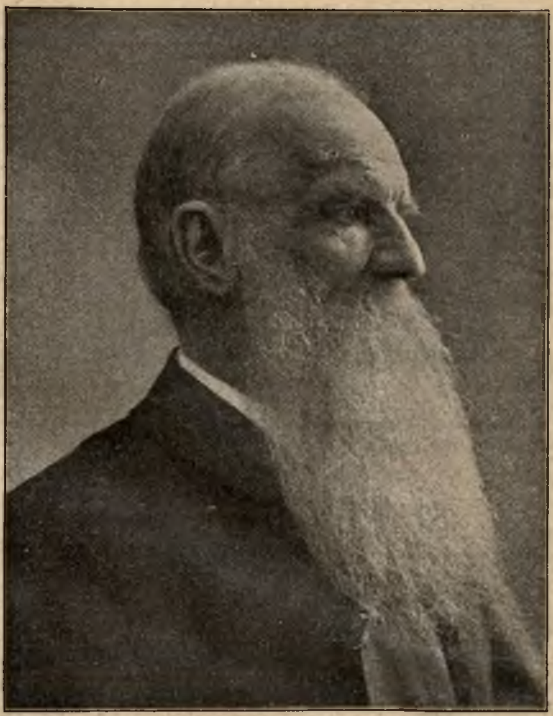
Skon patryoty-filantropa czeskiego.

Naród czeski utracił w ubiegłym tygodniu jednego z najzacniejszych swych synów, Józefa Hlavkę, prezesa czeskiej Akademii Umiejętności i członka austryackiej Izby panów. Przez całe życie swoje składał on dowody serdecznej, gorącej miłości ojczyzny i społeczeństwa swego. Życiem swem dał niejako przykład, jak żyć i pracować należy dla swego narodu, życiem swem spełnił przykazanie społeczne, iż jednostka należy nie tylko do rodziny, lecz w większej jeszcze mierze do społeczeństwa, które ją ze siebie wydało. Zasługami swemi zdobył też sobie najwyższą i najpiękniejszą godność w kraju, bo godność prezesa czeskiej Akademii Umiejętności.

Z zawodu był ś. p. Hlavka architektem. Jako budowniczy miejski w Wiedniu dokonał budowy wielu monumentalnych gmachów, między innymi i wiedeńskiej opery nadwornej. Przez lat kilka posłował do sejmu czeskiego, a później został mianowany członkiem izby panów. Ponadto był członkiem rady artystycznej w ministeryum oświaty i zajmował wiele honorowych stanowisk w instytucyach naukowych. Zmarł przeżywszy 77 lat.

Olbrzymi swój majątek, wynoszący z górą 4 miliony koron, przeznaczył prawie w całości na cele humanitarne i publiczne, w szczególności na cele czeskiej Akademii Umiejętności. Procenty z funduszu zakładowego im. Hlavki, iść mają w części na cele sztuki, literatury i wiedzy, w części zaś na stypendya dla czeskich studentów. Oprócz tych legatów, przeznaczył jeszcze Hlavka z dochodów od pozostawionych kapitałów, dwa tysiące koron rocznie na związek naukowy „Svatobor", takąż sumę na czeski związek malarski i sześćset koron rocznie na stowarzyszenie Komensky'ego w Wiedniu.

Skon ś. p. Hlavki wywołał w całych Czechach wielki żal, męża tego bowiem otaczano powszechną czcią i miłością.



Skon patryoty-filantropa czeskiego: Śp. Józef Hlavka.

Wilhelm-Podróżnik.

Cesarz niemiecki Wilhelm II. nie spoczywa ani chwili. Wiecznie zajęty. Jeśli nie własnemi sprawami, jeśli nie sprawami rodzinnych skandalów, to flotami zagranicznemi. Zajęcia więc ma dość. Pomnaża je swojemi ciągłemi podróżami, które wywołały ironiczny przydomek „Podróżnika".

Właśnie niedawno wrócił on z wycieczki na wyspę Helgoland, gdzie bawił jeden dzień. Przyjmowano go oczywiście owacyjnie. Cesarz niemiecki lubuje się w tego rodzaju szopkach, to też w miejscowościach, które odwiedza, naczelnicy władz sadzą się na przyjęcia jak najuroczystsze.



Wilhelm-Podróżnik: Cesarz Wilhelm II. przed szkołą na wyspie Helgoland.

Wycieczka na wyspę Helgoland nie miała zresztą żadnego głębszego politycznego znaczenia. Skończyło się na zwiedzeniu wyspy i na przedstawieniu cesarzowi władz miejscowych, dziatwy szkolnej, oraz grona dziewic, których aż sześć się tam znalazło.



Skandal w rodzinie Hohenzollernów: Książe Joachim Albrecht.

Mowy nie wygłosił cesarz wyjątkowo żadnej, a tylko wypowiedział kilka słów z podziękowaniem za ofiarowane mu przez dziewice kwiaty. Odjazdowi jego na statku „Kehrwieder“ towarzyszyły salwy armatnie.

Skandal w rodzinie Hohenzollernów.

Głośnym echem rozniósł się po świecie całym przed półtora rokiem skandal, jaki wynikł na dworze berlińskim. Cesarz Wilhelm, przyzwyczajony do kierowania sumieniem swoich poddanych, władzę swą chciał rozciągnąć i nad ich sercami, w pierwszym zaś rzędzie nad zapałami miłosnymi swoich krewniaków.

Tutaj jednak natrafił, może po raz pierwszy w życiu, na stanowczy opór. Stawił go ks. Joachim Albrecht, syn księcia brunszwickiego i bliski krewny cesarza. Zakochawszy się mianowicie w pięknej, choć podrzędnej artystce berlińskiej, córce kantora synagogi wiedeńskiej, Maryi Sulzer, postanowił zawrzeć z nią związek małżeński. Wszelkie tłomaczenia i wykazywania niewłaściwości tego mezaliansu nie były w stanie skłonić zakochanego pułkownika, bo taki stopień posiadał książę w wojsku pruskiem, do porzucenia swej ukochanej, natomiast chwycił się pomysłowego sposobu celem nadania wyższej godności przyszłej swej małżonce. Mianowicie wyszukał pewnego podejrzanej wartości barona Liebenberga, który za sumę trzydziestu tysięcy marek zgodził się wziąć ślub z panną Sulzer, a następnie rozwieść się z nią. Zawarto kontrakt, którego baron Liebenberg dopełnił, bo pojął za żonę ukochaną księcia, a następnie dał się złapać *in flagranti* na niewierze małżeńskiej, wskutek czego baronowa Liebenbergowa mogła otrzymać rozwód. Druga jednak strona kontraktująca nie dotrzymała umowy, operetkowy małżonek nie otrzymał przyrzeczonej sumy i mszcząc się, całą sprawę, trzymaną początkowo w tajemnicy, podał do wiadomości publicznej.

Wybuchł skandal, który najzupełniej pokrzyżował zamiary zakochanych, książę zaś został ukarany i przeniesiony do wojsk stacyonowanych w Afryce. Pod wpływem jednak żaru słońca afrykańskiego miłość ta jeszcze bardziej rozgorzała, książę przecierpiał mężnie rozłąkę i powróciwszy do Berlina, po dawnemu składał hołdy wybranej swego serca. Tego lekceważenia swych zakazów nie mógł znieść cesarz Wilhelm i ukarał ponownie swego kuzyna za jawną niesubordynacyę, ogłaszając przed kilku dniami rozkaz dzienny, usuwający księcia Joachima Albrechta z armii niemieckiej wraz z pozbawieniem prawa noszenia munduru. Rozkochane książątko, ofiara cesarskiego gniewu, opuścił już Berlin i wyjechał za granicę, gdzie zapewne spełni swe życzenia, poślubiając ukochaną. Posiadając zaś własny, dość znaczny majątek, nie potrzebuje liczyć się z gniewem opinią swego wujaszka.



Otwarcie wystawy sztuki w Rzymie: Król włoski Wiktor Emanuel w otoczeniu prezydyum tow. sztuk pięknych i dygnitarzy, po zwiedzeniu wystawy.



Skandal w rodzinie Hohenzollernów: Baronowa Marya Sulzer-Liebenbergowa.

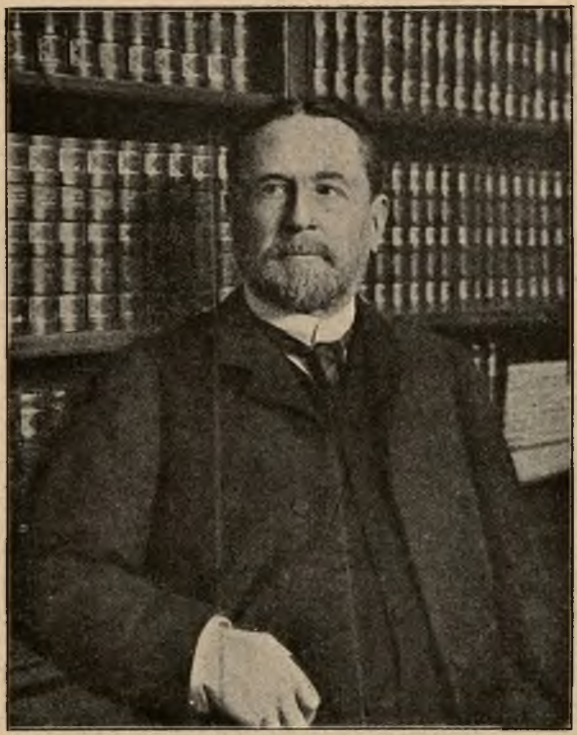
Otwarcie wystawy sztuki w Rzymie.

Jedną z największych uroczystości rzymskich, które sprowadzają zawsze do wiecznego miasta całe tłumy cudzoziemców, bywa otwarcie przez włoską parę królewską dorocznej wystawy sztuk pięknych.

Już od rana samego w dniu otwarcia wystawy, przed wspaniałym pałacem sztuki na via Nazionale,



Otwarcie wystawy sztuki w Rzymie: Björnstjerne-Björnson z żoną przed pałacem sztuk pięknych.



Trzej nowi »nieśmiertelni«: Francis Charmes.

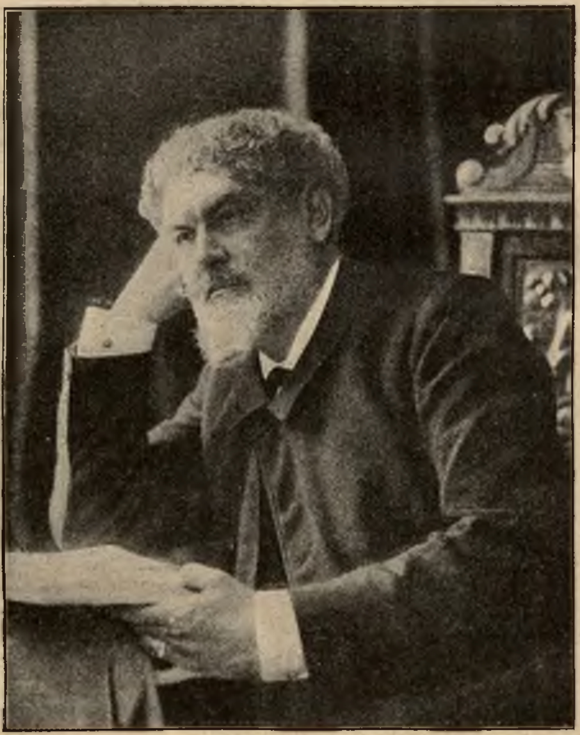
zgromadziły się i w tym roku masy publiczności, by ujrzeć długi korowód pojazdów dworskich, ministrów i ciała dyplomatycznego. Z powodu niedyspozycyi królowej, przybył tylko sam król w towarzystwie gen. Brusati i majora Teano; u drzwi pałacu sztuki został powitany przez prezydyum towarzystwa, oraz kilku wybitnych dygnitarzy.

Po zwiedzeniu wystawy przez króla, odbyło się w głównej sali pałacu sztuki „cercle", podczas którego wielu artystów zostało przedstawionych królowi.

Z pośród wielu cudzoziemców, zaproszonych przez komitet wystawowy na uroczystość otwarcia, powszechną uwagę zwracał swą wielką, siwą głową sławny literat norweski, Björnstjerne-Björnson, który wraz z żoną swą od kilku miesięcy bawi w Rzymie.

Trzej nowi „nieśmiertelni".

Za największy zaszczyt, jakiego za życia doznać można, uważają Francuzi przyjęcie w poczet członków Akademii paryskiej. Według dawnych, z 1635 r. pochodzących ustaw, nadanych jeszcze przez kardynała Richelieu'go, imię każdego członka ma być po wieczne czasy zapisanem w rocznikach Akademii i w ten sposób przejść niejako do nieśmiertelności. Zaszczyt tego rodzaju spotkać może tylko niewielu Francuzów, liczba bowiem „nieśmiertelnych" nie może nigdy przekraczać czterdziestu. A choć niejednokrotnie dostają się członkom Akademii szydercze przezwiska, wydrwiwające tę ich „nieśmiertelność", przecież ogół ludności Francyi wita wybór nowych Akademików z radością i zadowoleniem.

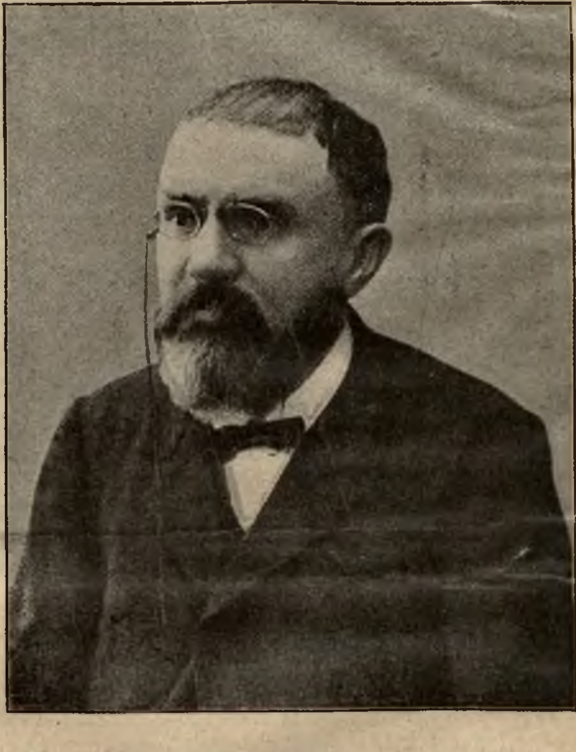


Trzej nowi »nieśmiertelni«: Jan Richepin.

Przed tygodniem powołani zostali do grona członków Akademii trzej zasłużeni mężowie, a mianowicie Poincaré, uczony, Charmes, publicysta i Richepin, poeta.

Pierwszy z nich, Henri Poincaré, słynny matematyk, reprezentuje świat naukowy. Jako syn profesora uniwersytetu w Nancy, poświęcił się w młodym bardzo wieku karyerze naukowej. W kilka lat po ukończeniu szkoły politechnicznej, został powołany na profesora mechaniki fizycznej i eksperymentalnej do Caen, skąd przeszedł do Paryża i tam dotąd wykłada na Sorbonie, jako jeden z najsławniejszych jej profesorów.

Przedstawicielem świata dziennikarskiego będzie publicysta, polityk i dyplomata zarazem, Francis



Trzej nowi »nieśmiertelni«: Henri Poincaré.

Charmes. Przez lat trzydzieści należał do redakcyi dziennika „Journal des Débats", zajmując jednocześnie wyższe stanowisko w ministeryum spraw zagranicznych. Obecnie jest redaktorem słynnego wydawnictwa peryodycznego „Revue des Deux Mondes".

Wreszcie trzeci „nieśmiertelny", Jean Richepin, reprezentować będzie poezyę. Urodzony w Algierze, jako syn lekarza wojskowego, po prędkiem załatwieniu się ze szkołami, wstąpił do wojska, by wziąć udział w wojnie z Niemcami. Po zawarciu pokoju puścił się na włóczęgę po świecie, pracując to jako tragarz, to jako majtek okrętowy, lub wreszcie jako aktor. W końcu jednak osiadł w Paryżu i oddał się pracy twórczej, która mu obecnie otworzyła podwoje Akademii.



Fot. M. Münz, Lwów.

Rezydencya Sobieskiego własnością gminy miasta Lwowa: Nabyta przez gminę miasta Lwowa kamienica ks. Ponińskich w Rynku.

Rezydencya Sobieskiego własnością gminy miasta Lwowa.

Dzięki usiłowaniom wiceprezydenta dr. Rutowskiego i archiwaryusza miejskiego dr. Aleksandra Czołowskiego, Lwów wzbogaca ciągle swój zbiór pamiątek narodowych i historycznych. Gorącem życzeniem tych miłośników zabytków historycznych całej Polski wogóle — a związanych z historyą miasta Lwowa w szczególności — jest, by stały się one własnością miasta.

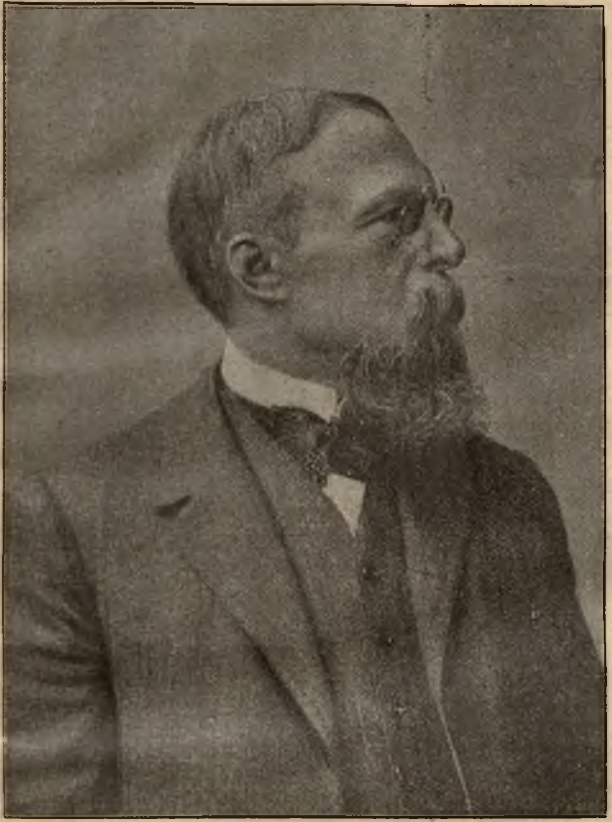
Dlatego też interesowali się szczególnie mieszczącą się w Rynku kamienicą zmarłego przed trzema laty księcia Kaliksta Ponińskiego, w której ongiś mieszkał król Jan III. Sobieski.

Na pierwszem piętrze tej oryginalnej z powodu wyglądu zewnętrznego kamienicy, mieści się komnata królewska, w której do niedawna jeszcze mieściły się meble królewskie.

Po śmierci ks. Ponińskiego miasto uważało so-

bie za punkt honoru nie dopuścić do tego, aby pamiątkowa kamienica przeszła w ręce prywatne, albo nawet spekulantów, którzyby ją bez skrupułów zburzyli.

Wiceprezydent Rutowski i dr. Czołowski czynili tedy z jednej strony usiłowania u Rady miej-



Dom przyszłych artystów: Edward hr. Raczyński.

skiej, by ją przekonać o potrzebie nabycia tej kamienicy przez miasto, a z drugiej strony usiłowania u spadkobierców, by dla kupna tej kamienicy uzyskać najdogodniejsze warunki. Usiłowania te zostały ubiegłego tygodnia uwieńczone pomyślnym wynikiem i rezydencya królewska Sobieskiego stała się własnością miasta. Kupiono kamienicę za kwotę 150 000 koron, a zastrzeżono, że pierwsze piętro, t. j. komnaty królewskie, mają być po wieczne czasy niezamieszkane. Natomiast urządzi się tam muzeum narodowo-historyczne, a przeniesione też tam zostanie archiwum miejskie.

Sklepy, mieszczące się w parterze, również zostaną usunięte, a cała kamienica zostanie z uwzględnieniem jej historycznego znaczenia adaptowana na rodzaj muzeum.

Placówka wiedzy oceanograficznej.

Duże zasługi na polu wiedzy oceanograficznej położył w ciągu ostatnich lat władca księstwa Monaco, książe Albert. Mając do dyspozycyi ogromne dochody, głównie z jaskini gry, która państewku jego nienajlepszą przysporzyła sławę, przeznacza poważną ich część na cele kultury, a w szczególności na kosztowne badania oceanograficzne, t. j. badanie przyrody i ukształtowania głębin morskich, jakby chcąc tem naprawić ludzkości zło, wyrządzone przez osławioną ruletę.

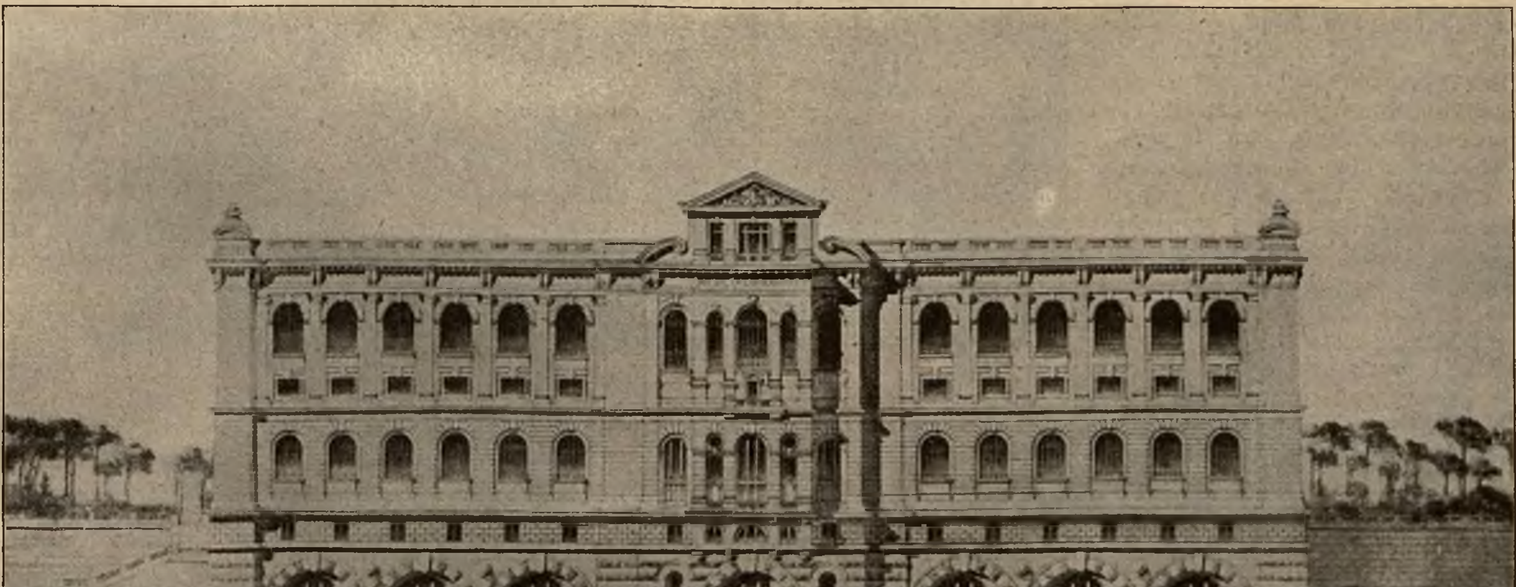
Nazwisko księcia-mecenasa znane jest też w literaturze naukowej. Napisał on bowiem i ogłosił drukiem szereg prac, odnoszących się do zakresu fizyki, zoologii i oceanografii. Nie mało też poczynił książe Albert wynalazków naukowych, między tymi sporo aparatów, ułatwiających badania w głębinach morza.

Ukoronowaniem jego naukowej działalności jest założenie wspaniałego, zdumiewającego bogactwem zbiorów, wspaniałością urządzeń wewnętrznych, a czarem położenia, muzeum oceanograficznego w Monaco. Leży ono tuż nad morzem, na skale, skąd wokół prześliczny roztacza się widok. Otoczenie tworzy ogromny, bogaty, o bajecznej niemal roślinności park, jeden z najpiękniejszych i największych w świecie.

Wewnątrz gmachu muzealnego znajduje się szereg laboratoryów i pracowni, wyposażonych we wszelkie najnowsze przyrządy. Duży obszar gmachu zajmują tam także akwarya, dalej zbiory naukowe oraz bogata biblioteka i czytelnia. Jednem słowem znajduje się tam wszystko, co tylko potrzebnem być może uczonemu przy badaniach.

Świat naukowy powita też z zadowoleniem otwarcie tej nowej placówki wiedzy. Otwarcie ma nastąpić w najbliższym już czasie, prace bowiem przygotowawcze są na ukończeniu.

Otwarcie nowego muzeum odbędzie się bardzo uroczyście i przy współudziale wielu wybitnych uczonych, zaproszonych na to święto nauki przez księcia Monaco.



Placówka wiedzy oceanograficznej: Gmach muzeum oceanograficznego w Monaco od strony morza.

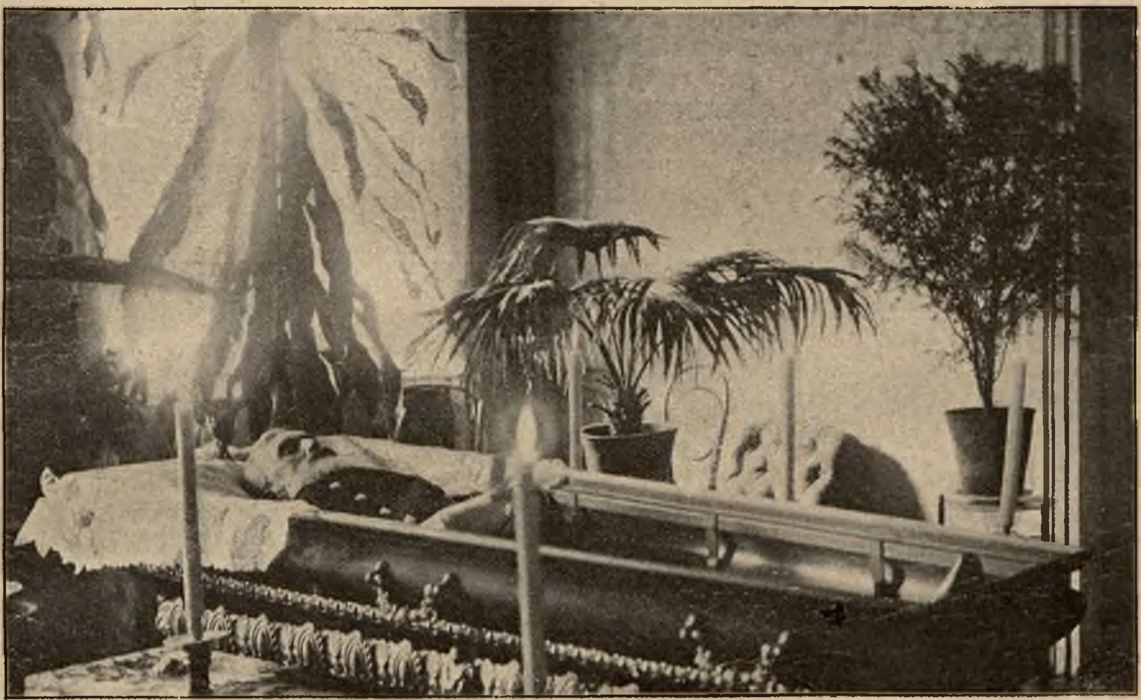
Skon dzielnego kolejarza.

Drużyna pracowników towarzystwa drogi żelaznej warszawsko-wiedeńskiej, opłakuje skon swego zasłużonego i ogólnie lubianego kolegi, śp. Adama Dziewulskiego, naczelnika stacyi Granica.

Urodzony w gubernii kieleckiej 1841 r., wstąpił po ukończeniu szkół do służby kolejowej i w służbie tej pozostawał aż do ostatnich dni życia. Na stacyi Granica pracował przeszło 30 lat.

Życie jego, ciche i spokojne, pełne jednak było pracy nietylko zawodowej, ale i obywatelskiej. Jego staraniem powstał w Granicy kościółek, dalej piękne plantacye, które są ozdobą tej miejscowości. To też lubiano go i szanowano powszechnie, a skon jego wywołał niekłamane współczucie.

Zaznaczyć jeszcze należy, że ś. p. Dziewulski został odznaczony za swe zasługi kilku orderami, a uznaniem cieszył się nietylko u swych kolegów i przyjaciół, ale i u przełożonych.



Skon dzielnego kolejarza: Śp. Adam Dziewulski na marach pośmiertnych

Złoty cielec.

Powieść wysnuta z aktów kryminalnych.

F. Łęcki.

I.

W miasteczku Berghausen uderzyła na ratuszu godzina dziesiąta wieczorem. Na dworcu drogi żelaznej stał pociąg, przygotowany do odejścia ku Berlinowi; peron opustoszał, tylko kilka osób zostało do powiewania chustkami, na pożegnanie odjeżdżającym i przechadzał się naczelnik stacyi. Konduktor pędził od wozu do wozu i skrzętnie drzwi zamykał, maszynista położył już rękę na gwizdawce, aby dać sygnał, gdy nagle zjawia się młody człowiek z torebką podróżną i zadyszany pyta naczelnika stacyi:

— Bardzo mi pilno; czy mógłbym jeszcze siąść do pociągu?

— A, a to pan, panie doktorze — zawołał naczelnik — chodź pan ze mną, prędko.

To rzekłszy, poprowadził przybyłego do najbliższego wozu drugiej klasy, pomógł mu wsiąść i drzwi za nim zamknął. W tej chwili rozległ się gwizd lokomotywy i pociąg ruszył z miejsca. Młody podróżny zachwiał się, o mało mu torba z ręki nie wypadła i wszedł do najbliższej przedziałki. W pośpiechu i roztargnieniu trącił kogoś siedzącego, poczem usłyszał mrukliwy wyraz niezadowolenia. Umieściwszy torbę, przypatrzył się towarzyszom podróży i rzekł uprzejmie:

— Bardzo panów przepraszam za mój pośpiech i nieuwagę.

— Nie szkodzi — odezwał się głos mrukliwy, stłumiony.

Młody podróżny przypatrzył się uważniej swoim towarzyszom. Siedzieli naprzeciw siebie przy oknie. Jeden z nich, siedzący twarzą do lokomotywy, był to sobie tłuścioch, wyglądający dość pospolicie, typ prostackiego dorobkiewicza. Na palcach błyszczały mu brylanty, którymi widocznie połyskiwać lubił, bo wciąż się po łysinie palcami głaskał.

Przy słabem oświetleniu przyćmionej lampy nie mógł dokładnie zbadać fizyognomii tłuściocha, lecz o ile światło dozwalało, starał się jej przypatrzeć. Wydała mu się nie tyle prostacką, ile chytrą i przebiegłą. Naprzeciw tłuściocha siedział człowiek, jakby na pół zamaskowany. Miał na sobie gumowy płaszcz podróżny, twarz owiązaną czarną chustką, miękki kapelusz na głowie aż na oczy zasunięty, a w dodatku usta zasłaniał chustką, jak człowiek, którego bolą zęby.

— Proszę wybaczyć, że się ofuknąłem na pana — odezwał się poobwijany podróżny do przybyłego. Trzeba panu wiedzieć, że cierpię na reumatyzm, więc boję się przeciągu.

Mówił to głosem mrukliwym, stłumionym, jak człowiek co albo głos zmienić pragnie, albo też tak mówić musi, wskutek dotkliwych cierpień.

— Skądże się ty taki wrażliwy wziąłeś na przeciągi? — odezwał się tłuścioch — wszakże miałeś czas do nich przywyknąć.

— Zęby, zęby — mruknął poobwijany towarzysz podróży. One mi tak dokuczają.

To powiedziawszy, wyrzucił przez uchylone okno resztkę cygara, a wyjąwszy napełnione cygarami „porte cigares“ — podał je przybyłemu:

— My tu dobrze dymimy, to może pan pozwoli dla towarzystwa.

— Dziękuję uprzejmie; ja wcale nie palę.

— A dokąd pan jedzie, jeżeli pytać wolno?

— Do Berlina — odpowiedział młody podróżny dość sucho i rozparł się w przeciwnym rogu przedziałki, oparłszy głowę o poduszki. Ów poobwijany, mrukliwy towarzysz podróży niemiłe wywierał na niego wrażenie, więc nie rad był dalszej rozmowy.

W tej chwili drzwi się otwarły; wszedł z latarką konduktor po bilety.

— Przyrzekłeś pan, że będziemy sami — odezwał się poobwijany.

— Bardzo panów przepraszam, ale stało się to bez mojej wiedzy, bo pan naczelnik stacyi sam tego pana w ostatniej chwili wprowadził.

— Ale pamiętajże pan nie dawać nam tu już nikogo.

— Niech panowie będą spokojni.

Konduktor wyszedł, tłuścioch i poobwijany zaczęli pół szeptem ze sobą rozmawiać, a młody podróżny zatopił się w myślach.

— Zapalmy sobie jeszcze — rzekł mrukliwy, podał tłuściochowi „porte-cigares“, przegiąwszy je przez połowę, potem z drugiej połowy dla siebie wyjął cygaro odmienne, zapalił je i rozkoszując się dymem, powiedział: — to najlepsze lekarstwo na zęby.

Rozmawiali potem dość żywo, a pół głosem, tak że doktor nicby z tego nie dosłyszał, choćby nawet słuchać pragnął.

Jednostajny ruch pociągu, usypiający turkot, nastrajały go do marzeń. rozmyślań. Snują mu się



Nie dokończył! Stanął jak wryty.

wspomnienia, od lat dziecięcych całem pasmem po dzień dzisiejszy. Sierota po dzielnym żołnierzu, co zginął na polu bitwy, ocierociały też i po matce, wychowywał się na łasce krewnych, wieśniaków, ludzi biednych. Chłopięciem pasał bydło, posługiwał, jak mógł, jak starczyły siły, byle chleba nie jeść za darmo, aż zajął się nim poczciwy pastor. Dopatrzył w nim niepospolitych zdolności i polecił go łasce barona Ellericha, właściciela dóbr Berghausen. Baron chętnie użyczał pomocy ubogim, uczynny był, nawet hojny, więc na swój koszt wysłał chłopca do szkół i dopomagał mu wciąż, dopóki uniwersytetu nie skończył. Gdy uzyskał stopień doktora filozofii, wyprawił go swym kosztem w podróż naukową po Europie, a teraz powierzył mu stanowisko bibliotekarza i nauczyciela młodszego syna. Przed objęciem obowiązków, chciał jeszcze młody doktor odwiedzić zacnego pastora w Berghausen i wieś rodzinną i po to tu przybył, a teraz wraca do pracy. A obowiązki dla niego podwójne, bo nie tylko bibliotekarzem ma być i nauczycielem w domu barona, ale i wdzięcznym wychowankiem.

Pogrążony w myślach, zaczyna marzyć o przyszłości; wyłaniają mu się jakieś błyskawiczne blaski szczęścia i sławy, to znowu nasuwają się chmury niepewności o dalsze lata życia, aż ukołysany znużeniem, marzeniami i jednostajnym ruchem pociągu, zaczyna zwolna zasypiać. Jeszcze słyszy turkot kół, jeszcze słyszy mruczenie rozmowy towarzyszów podróży, aż i to cichnie, ustaje i doktor zasnął spokojnie.

We śnie zdawało mu się, że jakiś cień przesunął mu się przed oczyma; chciał się ocknąć, nawet podniósł powieki, wydało mu się ciemno zupełnie w przedziałce, wysilał wzrok, żeby zobaczyć, czy lampa nie zgasła, ale go nagle taka ogarnęła senność, że powieki opadły i zasnął na nowo snem twardym. Czuł duszność, brak mu było tchu, a ocknąć się nie mógł. Zaczęły go też trapić ponure, senne widziadła, to znowu zdawało mu się, że słyszy jakiś krzyk przeraźliwy; usłyszał też czyjeś nazwisko chrapliwym głosem wypowiedziane. Chciał się zerwać, ale przytłoczyła go taka bezwładność, że jej przełamać nie zdołał. W tym twardym śnie zaczynał uczuwać kłujący ból głowy, coraz dokuczliwszy, aż wreszcie wyciąga ręce przed siebie, jakby chciał senne zmory odpędzić, potem ręka machinalnie podnosi się ku głowie i napotyka na twarzy jakąś osłonę. Zdziera ją, a wtedy odzyskuje doktor cokolwiek świadomości, budzi się zwolna. Głowa mu strasznie ciąży, jakaś dusząca woń wypełnia przedziałkę, w której zupełnie ciemno i cicho. Wiedziony instynktem zachowawczym życia, chce drzwi otworzyć na korytarz, ale daremnie się wysila, bo drzwi szczelnie zamknięte. Więc chwiejnym krokiem, zataczając się — chce przystąpić do okna, przy którem siedzieli współtowarzysze podróży, lecz poślizgnął się i przechylił, tak że ręką dotknął siedzenia swoich towarzyszy; ręka wsparła się na jakiejś zimnej, lodowatej twarzy. Doktor przeraził się, podnosi prędko firankę u okna — do przedziałki pada szare, blade, światło przedświtu. Doktor mozoli się z otwarciem okna, ale ono tak jakoś twardo zamknięte, że go poruszyć nie może, więc odwraca się, by znowu spróbować otwarcia drzwi, wtem spostrzega rzecz straszną.

W tej chwili drzwi się otwierają, wchodzi konduktor i odzywa się głośno:

— Proszę panów — dojeżdżamy. Za dziesięć minut będziemy w Ber...

Nie dokończył i stanął jak wryty.

Obaj z doktorem stali przerażeni, oniemieli.

Otyły podróżny siedział na swojem miejscu nieżywy. Nogi wyciągnięte, ręce zwieszone bezwładnie, głowa przechylona w tył na oparciu siedzenia; krew ściekała strumieniem z szyi, aż na podłogę. Naprzeciw, gdzie siedział z wieczora poobwijany, leżał tylko płaszcz, którym był okryty, i kapelusz.

— Morderstwo! — zawołał konduktor.

Doktor nic nie mówił, głowa mu się zawracała, ogarniały nudności. Spostrzegł na swojem siedzeniu białą chustkę i przypomniał sobie, że to ta sama, którą zerwał z twarzy. Teraz zaczęło mu się zwolna wyjaśniać, że morderca uśpił go chustką zachloroformowaną, aby swobodnie zbrodni dokonać.

— Powietrza, powietrza — szepnął doktor, a konduktor pomógł mu wyjść z przedziałki i otworzył okno w korytarzu. Przedział zamknął kluczem. Powiew świeżego powietrza ocucił cokolwiek doktora, ale mimo tego zawrót głowy nie ustawał i przygnębienie jeszcze się wzmogło. Wreszcie pociąg zatrzymał się na dworcu centralnym.

— Proszę nie wychodzić, dopóki nie przyjdzie komisya policyjna — rzekł konduktor do doktora, poczem zamknąwszy drzwi od wozu, pobiegł zdać sprawę naczelnikowi stacyi.

Przyjezdni wysiadali prędko, spieszyli do wyjścia, a gdy już peron się opróżnił i tylko jeszcze służba kolejowa przewoziła na wózkach, lub przenosiła pakunki, przybyła komisya policyjna z lekarzem. Podniesiono zwłoki i poddano tymczasowym oględzinom lekarskim w przedziałce.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Festival warszawskiej „Młodej Sztuki".

W ubiegłą niedzielę odbył się w Warszawie Festival, urządzony staraniem uczniów i uczenic szkoły Sztuk Pięknych w Warszawie.

Zabawę między innemi urozmaicono żywymi obrazami alegorycznymi, które urządzono z niezwykłą wspaniałością i ogromnym nakładem pracy. Zdjęcia fotograficzne dwu najpiękniejszych obrazów: „Ogień" i „Woda", zamieszczamy obok.



Fot. Cz. Kulewski, Warszawa.
Festival warszawskiej »Młodej Sztuki«: Obraz symboliczny, przedstawiający »Wodę«.

Pojedynek „bohaterów".

(Do illustracyi na stronie 4).

Pamiętny proces o wydanie twierdzy Portarturskiej, który zdarł wieńce wawrzynowe ze skroni dowódców i jenerałów tej twierdzy, znalazł epilog w krwawej rozprawie orężnej między dwoma „bohaterami" obrony, generałem Smirnowem i generałem Fokiem.

W procesie tym mianowicie przesłuchiwany generał Smirnow, złożył zeznania obciążające generała Foka. Formą owych zeznań uczuł się generał Fok obrażonym i wyzwał Smirnowa na pojedynek. Władza wojskowa pozwolenia udzieliła i w środę ubiegłego tygodnia przedpołudniem odbyło się spotkanie na dość ostrych warunkach. Jako broń wybrano pistolety, dystans oznaczono na 15 kroków, a strzały aż do skutku.

Świadkami byli ze strony Smirnowa: Puryszkiewicz i kapitan Schultz, ze strony Foka: kapitan Keido i porucznik Podgórski. Ponadto obecni byli przy pojedynku generałowie, oficerowie, lekarze, a nawet kilka pań. Spotkanie odbyło się w maneżu oficerskim przy ulicy Nowoizaakowskiej. Obaj przeciwnicy przybyli w mundurach generalskich i bez powitania zajęli wyznaczone im miejsca.

Pierwszy strzał padł z ręki generała Foka, jako obrażonego, strzał ten jednak chybił. Tak samo chybił następny strzał z ręki Smirnowa. Dopiero przy czwartej wymianie kul, trafił Fok Smirnowa w prawe biodro. Rana nie jest ciężka, kość biodrowa bowiem nie została naruszoną. Po założeniu opatrunku przewieziono Smirnowa do szpitala.



Festival warszawskiej »Młodej Sztuki«: Obraz symboliczny, przedstawiający »Ogień«. (Fot. Cz. Kulewski, Warszawa).

Dom przyszłych artystów.

(Do illustracyi na str. 10).

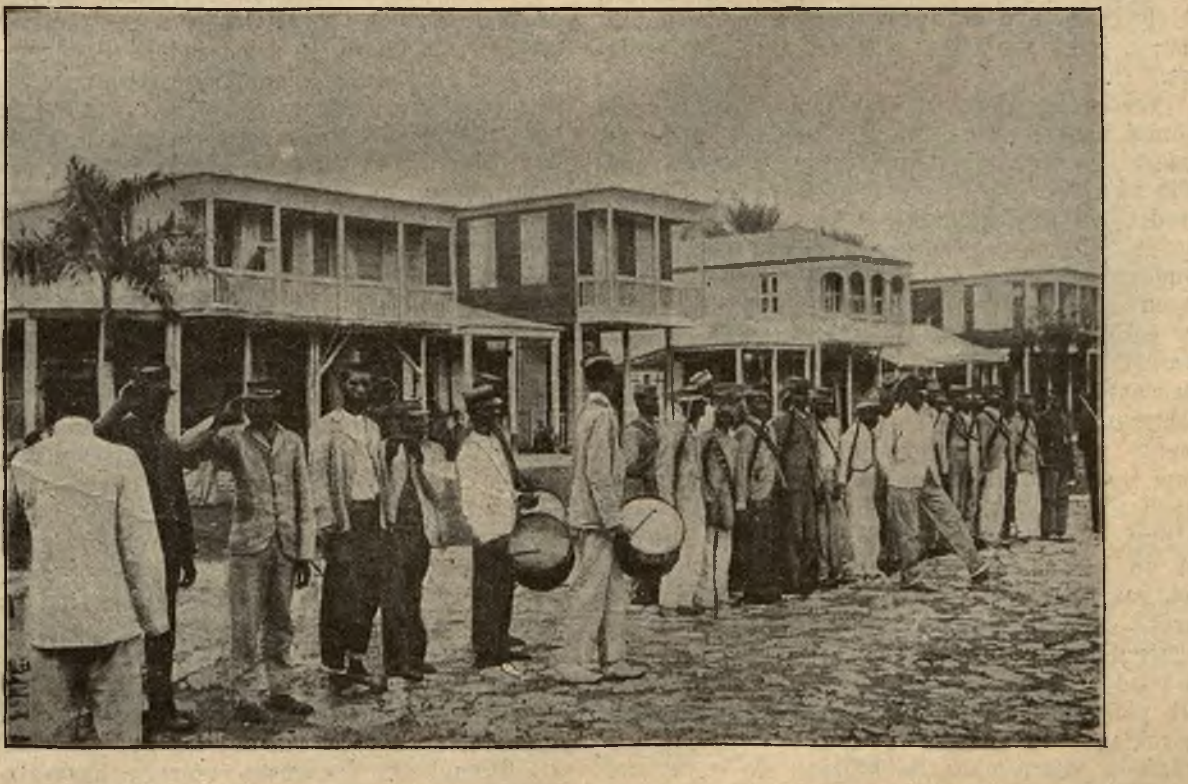
Pośród licznej rzeszy młodzieży, kształcącej się w Krakowie, uczniowie Akademii sztuk pięknych, jedynej na ziemiach polskich, odgrywali dotąd rolę kopciuszka. Pomimo ogólnej sympatyi, jaką zdobyli sobie w społeczeństwie, znosić jednak musieli w swem poświęceniu dla sztuki najcięższą biedę, nie posiadając często nawet dachu nad głową.

W celu też przyjścia im z pomocą zawiązał się przed niedawnym czasem w Krakowie komitet obywatelski, który po ukonstytuowaniu się i wyborze na przewodniczącego znanego mecenasa sztuki i prezesa Tow. przyjaciół sztuk pięknych hr. Edwarda Raczyńskiego, rozwinął żywą działalność.

Głównem zadaniem komitetu będzie zebranie funduszu na budowę domu dla uczniów Akademii, domu, jaki mają już studenci uniwersytetów w Krakowie i Lwowie. O niesłabnącej energii komitetowych świadczyć może ten fakt, iż zapowiedziano



Rewolucya murzyńska: Generał Firmini, głowa rewolucyi.



Rewolucya murzyńska: Oddział wojska murzyńskiego na wyspie Haiti. (Do artykułu na str. 3).

już na ten cel cały szereg koncertów i przedstawień. Młodzież Akademii sztuk pięknych może się spodziewać, iż pod protektoratem hr. Raczyńskiego, w którego rodzie przywiązanie dla sztuki stało się dziedzicznem, znajdzie rychłe zabezpieczenie swego bytu materyalnego.



Rewolucya murzyńska: Prezydent republiki Haiti, Nord-Aleksis.
(Do artykułu na str. 3.)

Kronika tygodniowa.

Mamy nową „piłę“.

Jest „sobie“ prawo kanoniczne (nawiasem mówiąc okropnie nudne, z wyjątkiem ustępów o unieważnieniu małżeństwa) i jest sobie p. Wahrmund, profesor tego prawa na uniwersytecie w Insbruku. Otóż p. Wahrmundowi przyszła ochota napisać broszurę, w której godził na niektóre dogmaty katolicyzmu. Między niemieckimi katolikami wszczął się z tego powodu huczek niemały. Powiedzieli, jeżeli pan wykładasz kościelne prawo katolickie, toś powinien być w zgodzie z Kościołem katolickim; a jeżeli nie jesteś w zgodzie, to złóż profesurę.

Przeciwnicy Kościoła krzyknęli na to: a gdzie wolność nauki? Wmieszał się w to i nuncyusz papieski, co wywołało taką wrzawę w całem państwie austryackiem, że nawet u Hawełki, Wentzla, a podobno i u Wołkowskiego ścierają się od kilku dni dwie partye: wahrmundowska i antiwahrmundowska. Ponieważ nie wiem jeszcze, która z tych dwóch partyj silniejsza, więc jako rozsądny polityk wstrzymuję się z wyjaśnieniem mojej opinii. Zaznaczam jedynie, iż ubolewania nad nieszczęsnym losem, nad prześladowaniem profesora Wahrmunda wydają mi się mocno przesadzone. Jeszcze przed dwoma tygodniami poza uniwersytetem insbruckim i szczupłem kołem ludzi, zajmujących się prawem kanonicznem, nikt nie wiedział, że prof. Wahrmund istnieje na świecie — dziś jest on na ustach wszystkich; zajmuje się nim rząd, zamuje kurya papieska, zajmują się uniwersytety, zajmuje się parlament, nie mówiąc już o dziennikarstwie, o zagranicy i o wszystkich czytać i mówić umiejących obywatelach i obywatelkach państwa austryackiego. Przeciwnicy zrobili mu reklamę, która według oszacowania kilku urzędników skarbowych, do których się w tej mierze jako powag odnosiłem, warta jeżeli nie cały milion koron, to przynajmniej 832.248 koron i 16 halerzy. Co więcej, jakiś poseł złożył mandat, aby prof. Wahrmunda wprowadzić do sali parlamentu. Zalatuje mnie już zapach indyków, jak'e będą zjedzone i dolatuje szum szampana, jaki będzie wypity na urządzonych ucztach ku czci insbruckiego profesora prawa kanonicznego. Jeżeli zaś nie jest żonaty, to przepowiadam mu, że otrzyma małżeńskie oferty od kilku conajmniej posiadaczek czułych serc i grubych posagów. Nie jest więc ofiarą losu, lecz wygrał los na loteryi życiowej...

Gorszy los spotkał księcia pruskiego Joachima Alberta. Trzydziestoletni ten Hohenzollern zakochał się w czterdziestoletniej pannie Maryi Sulzer, prymadonnie berlińskiego teatru *Residenz Trianon*. W państwie homoseksualistów taka miłość jest źle widziana, więc też najdostojniejszy „wywłaszczyciel“ przeniósł zakochanego młodzieńca do kolonii wojennej w Afryce, sądząc, że będzie można wybić klin klinem: gorącą miłość, gorącem powietrzem. Ale najdostojniejszego wywłaszczyciela spotkał zawód okrutny: książe Joachim Albert nietylko się nie odkochał, lecz z gorąca wpadł w upał miłosny i postanowił popełnić samobójstwo, to jest ożenić się z ukochaną. Wstrzymywał go jeden tylko przesąd: krew mieszczańska panny Sulzer; był przekonany, że w żaden sposób jego krew najniebieststa (zwracam na ten wyraz uwagę znawców języka) nie da się pogodzić ze zwykłą czerwoną krwią mieszczańską. Postanowił więc tę drugą krew uszlachetnić i w tym celu wydał swój ideał za jakiegoś barona Liebenberga, pod warunkiem, że „takowy“ nie będzie korzystał z praw małżeńskich i za cenę stu tysięcy marek da się złapać na niewierności, aby baronowa mogła zażądać rozwodu i aby Hohenzollern mógł się ożenić już nie z mieszczką, lecz z prawdziwą baronową.

Rzecz przeprowadzono, choć nie bez awantur, bo zakochany książe, zgodnie z tradycyą swego domu, chciał orżnąć Liebenberga. Powstał skandal, wzbogaciła się literatura paszkwilowa. Wreszcie sprawę załagodzono i baronowa już miała zostać księżną pruską, kiedy po raz drugi wmieszał się w tę sprawę król jegomość pruski, pełniący zarazem obowiązki cesarza niemieckiego. Długo perswadował kuzynowi, aby nie robił głupstwa, ale z tym kuzynem, jak się pokazało, trudniejsza była sprawa, niż z najświętszemi przekonaniami pruskiej Izby panów. Uparł się jak J. E. Bobrzyński przy kuryach i oświadczył stanowczo, że bez baronowej Liebenberg, jako ślubnej małżonki, świat dla niego nie wart torby sieczki, funta kłaków i złamanego szeląga. „Najdostojniejszy“ rozgniewał się, zwołał oficerski sąd honorowy i książe Joachim Albert został sromotnie wyrzucony z armii pruskiej, jako człowiek pozbawiony... honoru (?).

Jednocześnie został srodze naruszony honor dziennikarzy niemieckich. Panowie ci głośno śmieli się i hałasowali w loży parlamentarnej podczas rozpraw nad § 7 ustawy o stowarzyszeniach, który to paragraf, jak wiadomo, jest zamachem na prawa języka polskiego. A że są to mężowie uczuć szlachetnych, więc też w dwa dni później wybuchnęli znowu śmiechem, gdy poseł Erzberger przy dyskusyi nad etatem kolonialnym wyraził się, że i murzyni mają duszę nieśmiertelną. Zirytowany na tych błaznów poseł Gröber z centrum zawołał głośno: „To znowu te same świnie (Saubengel), co onegdaj“. Panowie dziennikarze uczuli się obrażeni i żądają zadośćuczynienia pod groźbą, że nie będą nic pisali o rozprawach parlamentarnych. Sądzę jednak, że dadzą się przebłagać, boć jak nie będą pisali, to i będą mieli mniejszy zarobek, a dlatego rodzaju dziennikarzy kwestya zarobku stoi ponad kwestyą honoru. Mówię dla „tego rodzaju“, ponieważ sprawozdawcy parlamentarni, z małym wyjątkiem, to poślad dziennikarski, a berlińscy są jeszcze pośladem tego pośladu. Więc też jeżeli gdzie, to w naszych dziennikach obrona ich „honoru“ wydaje mi się zabawną.

Nie jest zabawnem położenie pani z Koburgów primo voto księżnej saskiej, illegitimo voto Gironowej, sine voto Montignosowej, quarto voto Tosellowej, lub Tosseliny—jak wolicie. Nieszczęśliwa ta niewiasta w żaden sposób nie może sobie dobrać małżonka. Zawsze ją łudzą pozory: w pierwszych dniach po ślubie lub niby ślubie czuje się zadowoloną, ale wkrótce spotyka ją zawód: miłość małżonka chłodnie, staje się na jej potrzeby niewystarczającą, więc podobno p. Toselli, którego nazywa popsutym klawiszem, otrzyma lada chwila dymisyę, a na jego miejsce ma być powołany jakiś dziennikarz francuski, którego nazwisko wypadło mi z pamięci.

A propos nazwisk, ostatnie zajścia w Haiti przypomniały czasy cesarza Soulouqua, murzyna, który wybrany na prezydenta rzeczypospolitej Haiti poszedł za przykładem Napoleona i ogłosił się cesarzem w r. 1849. Pan ten naśladował we wszystkiem „boga wojny“, a więc na wzór jego otoczył się i nową, własnego wyrobu, arystokracyą, której nadał fantastyczne własności lenne wraz z tytułami. Tak naprzykład brat jego Jan Józef był księciem de Port d'Epée, pan de Mare księciem de la Limonade, p. Toni księciem du Trou (na Dziurze) itd. Byli też hrabia de la Tortue (na Żółwiu), hrabia Numero Deux (Numer Drugi), hrabia de la Syringue (na Lewatywie), hrabia de Grand Gosier (na wielkiem Gardle) itd.

Wzmianka o hrabiach pozwala mi opuścić Europę i kraje egzotyczne, a powrócić na łono ojczyste. Otóż hrabia Adam Broel-Plater, właściciel zakładów przemysłowych w Końskich (w Królestwie Polskiem), uznał, że w obecnym czasie przełomowym najlepiej zasłuży się krajowi, jeżeli wyjedzie na półtora roku do Afryki, aby zapolować na lwy afrykańskie i badać (?) faunę podzwrotnikowych okolic. Wiadomość tę, a raczej ten czyn p. hrabiego, powitano w kołach myśliwsko-sportowych z entuzyazmem. Nie podzielając tego zapału, poprzestańmy na uwadze, że każdy robi co umie... „Służmy poczciwej sławie, a jako kto może, ku powszechnemu dobru niechaj dopomoże“.

Ze względu na to powszechne dobro zanosi się na wyrządzenie małej nieprzyjemności naszej arystokracyi... pędzla i dłuta. Wiadomo wszystkim wobec i każdemu zosobna, że istnieje u nas, z siedzibą w Krakowie, towarzystwo „Sztuka“. Członkowie tego towarzystwa uważają się za książąt, hrabiów, a conajmniej baronów wśród całej rzeszy malarzy i rzeźbiarzy polskich. Jako tacy oddzielili się od wszelkiej „hołoty“ i tylko siebie uważają za artystów. Urządzają swe własne w kraju i zagranicą wystawy, niedozwalając w nich brać udziału żadnemu „demokracie“ artystycznemu. Co więcej starają się zapewnić cały świat artystyczny europejski, że poza ich szczupłem gronem niema ludzi w Polsce, którzyby malować lub rzeźbić umieli — prócz nich są tylko lakiernicy, malarze szyldowi i kamieniarze. Niedawno wyszło na jaw, że jeden z tych arystokratów przeszkodził urządzeniu zagranicą większego oddziału sztuki polskiej, oświadczywszy komitetowi wystawowemu, że poza „Sztuką“ stoją tylko same... zera. Czego nadto, to i niezdrowo — więc „pozasztukowi“ artyści zwrócili się do Jacka Malczewskiego i Wojciecha Kossaka, aby ci stanęli na czele „demokratów“ artystycznych i założyli towarzystwo „Zero“. Ironia w tej nazwie jest widoczna. Maluczko więc, a ujrzymy wystawę „Zer“, która może przekona, że i wśród „demokratów“ są prawdziwi arystokraci sztuki, a natomiast wśród arystokratów „Sztuki“ jest wiele... zer.

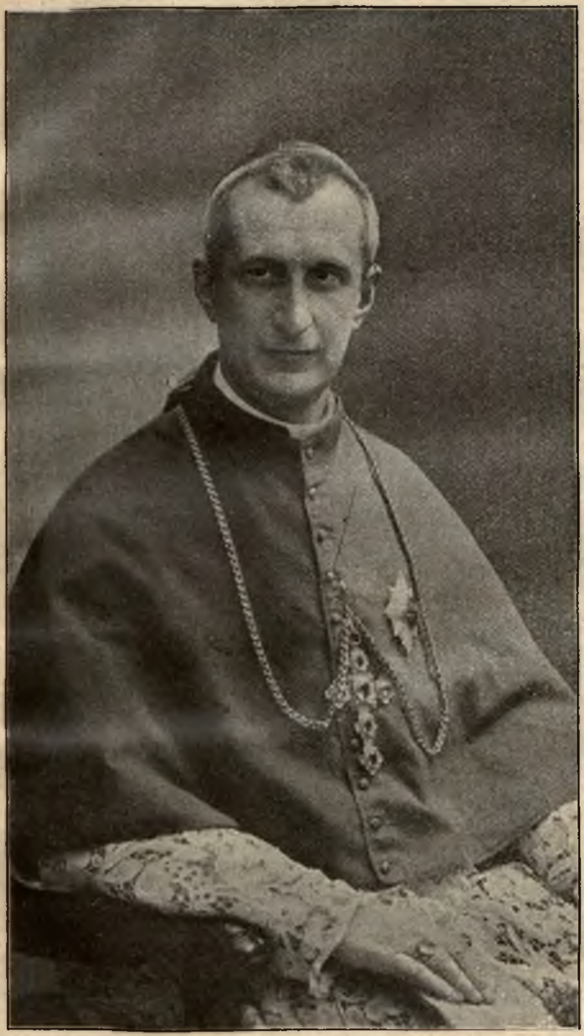
W chwili kiedy piszę dzisiejszą kronikę, Lwów spieszy do urny, aby wybrać 56 ojców miasta. Dzieje się, jak ktoś dowcipnie zauważył, przeciw naturze, bo nie ojcowie płodzą synów, lecz synowie ojców na świat wydają.

Takie same nienaturalne zjawisko spodziewane jest lada chwila w Krakowie. Ale w naszym grodzie udział „matek“ będzie wybitniejszy, choć pośredni. Gdzie się ruszysz, widzisz mężów zziajanych w gonitwie za „legitymacyami“ kobiecemi. A nie idzie tylko o „matki“, ale i o „córy“, bo znaczna część legitymacyj przypada na dziewice, tęsknie mężów oczekujące. Zanim im przyjdzie wydawać na świat synów, będą wydawać „ojców“ przy pomocy hyen wyborczych. Oby ci ojcowie nie zawiedli oczekiwań i nie stali się ojczymami. A będą nimi bezwarunkowo, jeżeli zamiast gospodarką miejską, będą zajmowali się polityką.



Zatarg polityczny o profesora.

Z małego, drobnego faktu wybuchła w Austryi wielka burza polityczna, która może pociągnąć za sobą nieobliczalne dziś następstwa. Oto profesor

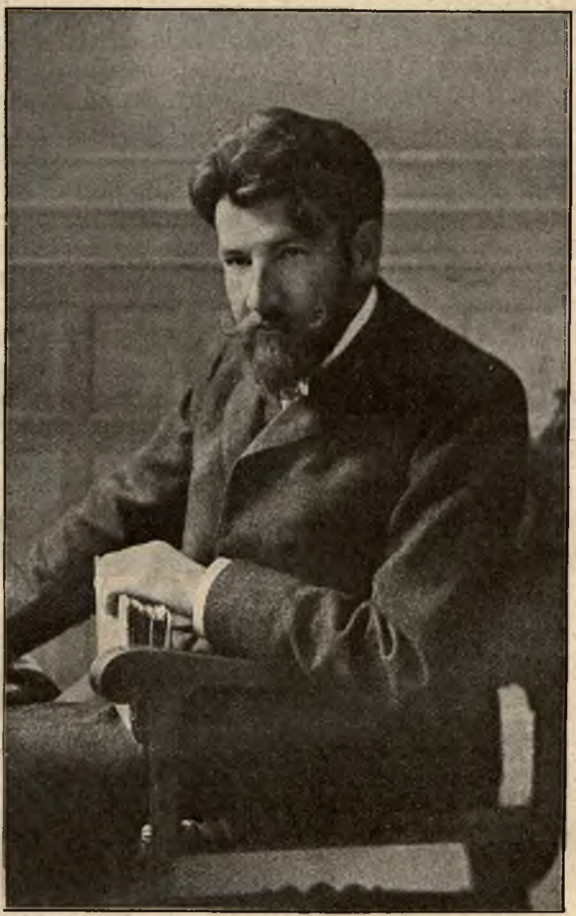


Zatarg polityczny o profesora: Nuncyusz papieski w Wiedniu, Monsignore Granito di Belmonte.

prawa kościelnego na uniwersytecie w Insbruku, dr. Ludwik Wahrmund, wygłosił niedawno temu odczyt, w którym podobno zaatakował dogmaty wiary katolickiej. Odczyt ten następnie ogłosił drukiem. Wskutek alarmu, podniesionego przez część prasy katolickiej, broszura ta została skonfiskowaną. Nie skończyło się jednak na tem.

Oto wieść o antikatolickich tendencyach młodego profesora doszła do wiadomości nuncyusza papieskiego w Wiedniu, monsignora Granito di Belmonte. Uważając się za stróża katolicyzmu w Austryi, zwrócił się nuncyusz do ministra spraw zagranicznych bar. Aerenthala z przedstawieniem, że człowiek o tego rodzaju zapatrywaniach, jak prof. Wahrmund, nie powinien zajmować katedry prawa kościelnego.

I wówczas zawrzało w całej prasie austryackiej. Dzienniki katolickie uznały krok nuncyusza za zupełnie racyonalny i zsolidaryzowały się z żądaniem usunięcia prof. Wahrmunda, pisma zaś liberalne dopatrzyły się w postępku nuncyusza, który jest



Zatarg polityczny o profesora: Prof. dr Ludwik Wahrmund.

w Wiedniu zastępcą Watykanu, wmięszania się obcej władzy w ściśle wewnętrzne sprawy monarchii.

Najciekawsze w całym zatargu jest to, iż nikt właściwie nie wie napewne, czego żądał nuncyusz od ministra barona Aerenthala. Nuncyusz bowiem oświadczył dziennikarzom, że wobec ministra wyraził zdanie, iż prof. Wahrmund powinien zrzec się katedry prawa kościelnego, skoro stoi w niezgodzie z dogmatami katolickimi, organy rządowe zaś twierdzą, że nuncyusz domagał się wprost usunięcia profesora.

Stąd też cała prasa liberalna stanęła w obronie rzekomo zagrożonych tem praw wolności nauki, a bohater burzliwego zatargu, prof. Wahrmund, stał się nagle głośnym nietylko w całej Austryi, ale i daleko poza jej granicami.

A w Austryi podzielili się wszyscy na dwa obozy. Z jednej strony stanęli zwolennicy prof. Wahrmunda i głośno domagają się ustąpienia nuncyusza papieskiego, ponieważ zdaniem ich popełnił on krok niepolityczny i stał się w Wiedniu niemożliwym, z drugiej zaś bronią sfery klerykalne stanowiska monsignora Granito di Belmonte i występują ostro a stanowczo przeciw młodemu profesorowi.

Cała sprawa odbije się niewątpliwie jeszcze raz głośnem echem w parlamencie wiedeńskim, skoro tylko podjęte zostaną obrady plenarne.

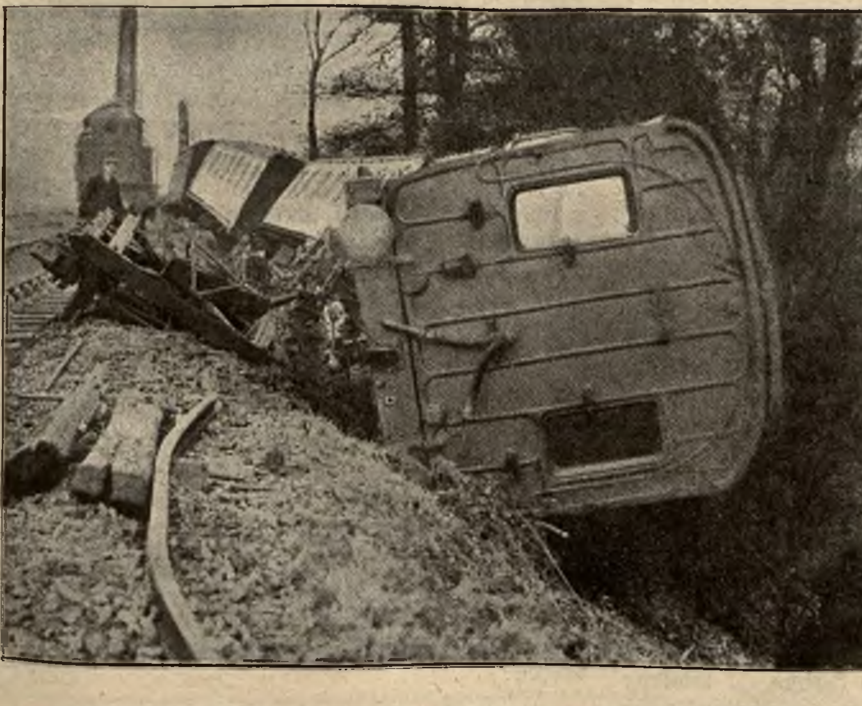


Zatarg polityczny o profesora: Minister spraw zagranicznych, br. Aerenthal.

Katastrofa kolejowa pod Londynem.

Niezwykły wypadek kolejowy zdarzył się w zeszłym tygodniu na drodze żelaznej pod Londynem. Gdy pociąg ekspresowy, idący z Londynu do Leicester, z chyżością czterdziestu czterech kilometrów na godzinę, zbliżał się do stacyi Wembley, wyskoczyła z szyn, z powodu zepsucia się tendra, lokomotywa, pociągając za sobą trzy wagony, podczas gdy trzy inne nieznacznie się tylko pochyliły. Tor kolejowy, położony na nasypie wysokości 3 metrów, był z obu stron dość gęsto obsadzony drzewami i tylko dzięki tej okoliczności nikt z podróżnych nie poniósł poważniejszego uszkodzenia. Drzewa bowiem, łamiąc się pod ciężarem wagonów, osłabiły cały impet upadku i zapobiegły w ten sposób potrzaskaniu wozów.

Kroniki kolejowe nie notowały jeszcze nigdy takiego szczęścia w nieszczęściu.



Katastrofa kolejowa w Anglii: Widok zwalonych z toru wagonów.

Śmierć lekarza na stanowisku.

Od kilku dni szerzy się w szpitalu im. Dzieciątka Jezus w Warszawie tyfus plamisty. Na straszną tę chorobę zapadło i kilku lekarzy, sióstr mi-



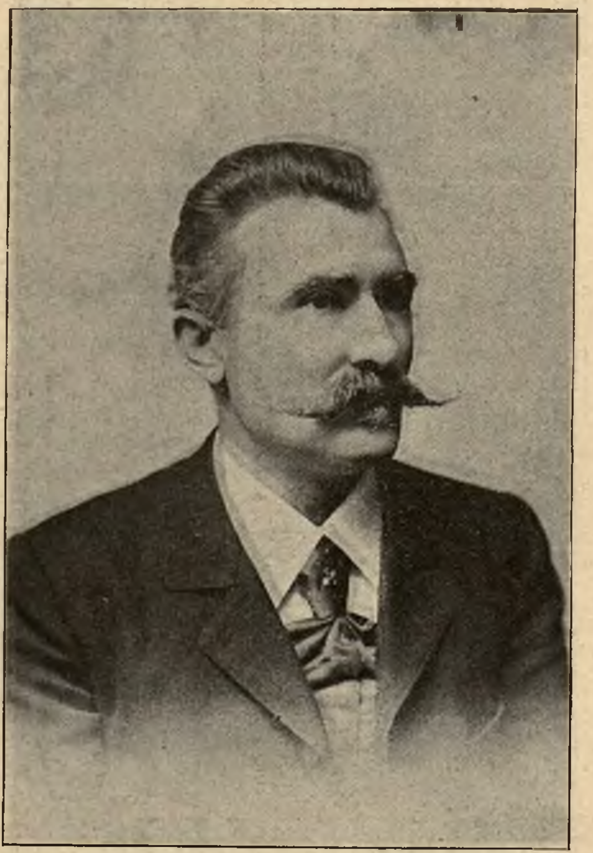
Smierć lekarza na stanowisku: Ś. p. dr. Koronkiewicz.

łosierdzia, posługaczy. Zarządzono oczywiście wszelkie możliwe kroki, celem zapobieżenia dalszemu szerzeniu się epidemii. Zamknięto równocześnie ambulatoryum szpitalne.

Jedną z pierwszych ofiar tej choroby stał się młody i obiecujący lekarz warszawski, dr. Zygmunt Koronkiewicz. Śmierć jego tragiczna, śmierć na stanowisku, wywarła w całem mieście głębokie wrażenie i szczere współczucie.

Skon naczelnego lekarza m. kasy chorych we Lwowie.

Ubiegłego piątku zmarł we Lwowie długoletni naczelny lekarz miejskiej kasy chorych, dr. Celestyn Sztembart, przeżywszy lat zaledwie 54. Zmarły od samego założenia tej nad wyraz pożytecznej instytucyi społecznej, a więc przez blisko 20 lat, był lekarzem kasy chorych, a przez 10 prawie lat jej lekarzem naczelnym. W traktowaniu członków kasy, szukających porady lekarskiej, bardzo uprzejmy, jako lekarz bardzo sumienny, a kasie chorych samej bardzo życzliwy, umiał sobie pozyskać tak szacunek pacyentów, jak i każdorazowego zarządu kasy.



Skon naczelnego lekarza m. Kasy chorych we Lwowie: Śp. dr. Celestyn Sztembart.

Kiedy w ostatnim roku z powodu przepracowania i nadwątlonego zdrowia nie mógł już podołać wszystkim zadaniom naczelnego lekarza, zarząd zamianował go lekarzem-kontrolorem, na którem to stanowisku jednak już nie długo pracował.

W pogrzebie jego wzięło udział mnóstwo członków kasy, a nad grobem przemówił imieniem zarządu dyrektor kasy i poseł do Rady państwa Józef Hudec.

Nowy dyrektor krakowskiego szpitala powszechnego.

Wakująca od czasu ustąpienia dr. Ponikły posada dyrektora szpitala krajowego im. św. Łazarza w Krakowie, została już obsadzoną. Wydział krajowy zamianował na to stanowisko dotychczasowego prymaryusza lwowskiego szpitala powszechnego, dra Józefa Krzyszkowskiego, który w najbliższych już dniach obejmuje swoje obowiązki.

Nowozamianowany dyrektor, dr. Józef Krzyszkowski, urodził się w roku 1869 w Olchowcu w gubernii kijowskiej. Studya uniwersyteckie ukończył na uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, gdzie w roku 1897 uzyskał doktorat wszech nauk lekarskich.

Następnie osiadł we Lwowie i tu przez cztery lata był asystentem anatomii patologicznej przy katedrze prof. dra Obrzuta, poczem w r. 1901 wstąpił do szpitala powszechnego. W r. 1905 mianowany został prymaryuszem oddziału chorób skórnych i wenerycznych i posadę tę piastował aż do chwili obecnej.

Szpital powszechny w Krakowie zyskuje w nowym dyrektorze nietylko znakomitego lekarza, ale i pierwszorzędnego administratora.



Nowy dyrektor krakowskiego szpitala powszechnego. Dr. Józef Krzyszkowski.

Z lwowskiego bruku.

(Ani słówka o wyborach — Klajster polityczny. — Nowa porcya. — »Strzelnica«, »centrum« a »opozycya«. — Reakcya. — »Kropla mleka«. — Mleko a p. German. — Przemysł krajowy na Cytadeli. — Co się utopi, a co się nie utopi. — Kiszka wyborcza.).

Przedewszystkiem zapowiadam, że ani słówkiem nie wspomnę o toczących się właśnie zapasach wyborczych, mających wprowadzić do naszej rady miejskiej 56 nowych (albo nienowych) „ojców“. Będzie to zresztą tylko reakcyą naturalną, zrozumiałą i konieczną wobec tego, co się w mieście od dwóch przeszło miesięcy dzieje.

Zaczęło się zaś jeszcze przed wyborami sejmowymi. Wskutek nadzwyczaj wesołych kombinacyj politycznych, które zaciekłych do niedawna wrogów na gruncie lwowskim przemieniły w serdecznych sojuszników, powstał wówczas ogólny klajster. I już wtenczas właściwie nikt nie wiedział, jak ma głosować i czy ma głosować, nikt nie wiedział, czy ma sumienie, czy je zgubił na którem ze zgromadzeń przedwyborczych, nie wiedział, czy jest postępowym demokratą, czy umiarkowanym demokratą, czy wogóle jest demokratą. Bo ciągle słyszał co innego. A wszystko było niby racyonalne, wszystko poparte wymownymi, ba, nawet drukowanymi argumentami. Przeciętny wyborca lwowski był podówczas na rozdrożach, był niby ów poczciwy kłapouch, tylko że w żłobek nie dano mu ani owsa ani nawet siana, lecz takie przysmaki, jak endecyę lub antiendecyę. Co „chto“ wolał!

I jeszcze się Lwów z tamtego klajstru nie wygramolił na dobre, a już spadła nań nowa porcya. Nowe zgromadzenia, nowe awantury, nowe afisze, nowe sojusze. I znowu nikt nie wie, czy „Strzelnica“ to zguba i nieszczęście miasta, czy jego podpora i nadzieja; czy to zaskorupiała w przesądach klika, co tylko za własnym interesem węszy, czy postępowa, demokratyczna, zdrowa sfera mieszczańska, gotowa do ostatecznych a bezinteresownych poświęceń dla dobra ukochanego grodu. Tak samo nikt nie wie, czy stronnictwo „centrum“ zrobiło co, czy nic nie zrobiło a tylko gadało, czy „opozycya“ wali w „Strzelnicę“, czy też z nią razem strzela do „centrum“. Nikt nie wie, bo i jedno i drugie „stoi wydrukowane“ w gazetach. Więc jak nie wierzyć?! Klajster — taj nic, tylo klajster, panie dzieju!

Reakcya więc jest potrzebną, jest zrozumiałą, jest wprost konieczną. Dość wreszcie wyborów, zgromadzeń i wszystkich innych tym podobnych przyjemności. Więc i w wiadomościach „z lwowskiego bruku“ nie chcę o nich — jak to na wstępie zapowiedziałem — ani słówkiem wspominać.

A nie jest to łatwą rzeczą. Bo w klajstrze polityczno-wyborczym całe miasto się kąpie. I nie tylko się kąpie, ale i topi.

Utopiła się „kropla mleka“, która choć w innych miastach istnieje i bardzo wiele dobrego i pożytecznego działa, dla Lwowa okazała się niepotrzebną. I może słusznie. Takie lwowskie dziecko, wykarmione i wychowane na klajstrze, krzywi się, gdy mu dadzą mleka. I żeby bodaj była cała flaszka tego mleka! Ale „kropla?“ Tyż coś?

Utopił się razem z mlekiem i „Mściciel“ pana Juliusza Germana. I to drugi raz. Przedtem próbował szczęścia, poparty protekcyą Tadeusza Pawlikowskiego, w Krakowie. A że tam tę sztukę powieszono, więc autor wybrał się z nią do Lwowa. I tu się utopiła.

A wszystkiemu winne wybory. Kto ma teraz czas i ochotę myśleć o mleku albo o teatrze. Takie straszne historye, jak mordowanie, katowanie, a równocześnie deklamacye, może „każdy“ zobaczyć „za durno“ w towarzystwie pedagogicznem, albo u Kozłowskiego na Grodeckiem, gdzie prócz tego zamiast „kropli mleka“ dostanie „bombę“ pilznera z prazdroju. Więc lepiej pójść na pierwsze lepsze zgromadzenie przedwyborcze. Tylko trzeba umieć słuchać, trzeba umieć patrzeć.

Umie to „Liga popierania przemysłu krajowego“ i jej dyrektor p. Olszewski. Ze swoją ruchomą wystawą wyrobów krajowych wydrapał się na Cytadelę i będzie tam przez tydzień „trzymać szkołę“ o znaczeniu przemysłu i konieczności jego popierania.

Będzie to w każdym razie nowość. Dotychczas słyszeli żołnierze, stacyonowani na Cytadeli, tylko o „gelembikach“, „eincykach“, „sztrozakach“ i innych „kolpostrakach“. Teraz dowiedzą się czegoś o przemyśle i to krajowym. I zobaczą ładne obrazki skioptikonowe. A jakże! Ładniejsze w każdym razie, niż figury, wymalowane farbką do bielizny na murach Cytadeli, lub wewnątrz poszczególnych „turmów“ porozwieszane „landszafty“, przedstawiające zwycięsko przez wojska austryackie stoczone niegdyś batalie.

A że Cytadela to taka bardzo wysoka góra, więc może klajster lwowski jej nie dosięgnie i ani „Liga przemysłowa“ ani dyrektor Olszewski się nie utopią.

Ale jest jeszcze jeden topielec, o którym powinienbym wspomnieć. Nowy Wasiński! Utopiła go policya. Pan ten, nazywający się Sieradzki, grasował przeważnie w Niemczech, rozbijając kasy ogniotrwałe. Był więc do pewnego stopnia patryotą. Swoich szanował, a okradał gałganów hakatystów. Więc policya lwowska, która nietyle z własnej inicyatywy, ile według wskazówek koleżańskiej instytucyi z za kordonu pruskiego, owego pogromcę kas hakatystycznych „nakryła“, nie przysłużyła się wcale sprawie narodowej.

Sprawie tej daleko lepiej służy regimentarz „rządu narodowego“ VI. okręgu wyborczego (Bajki i okolica) p. Mieczysław Zadora — za pozwoleniem — Paszkudzki. Ten przynajmniej gnębi „Strzelnicę“, to gniazdo korupcyi i hyen wyborczych. Kandydując jednak z ramienia wspomnianej organizacyi do Rady miejskiej, zagalopował się trochę — i utopił się w klajstrze. Pognębił go p. Ciuchciński, nietylko prezes „Strzelnicy“ ale i prezydent miasta, zarzucając mu delikatnie kłamstwo. Jak widzimy więc — wszystko się gwałtownie topi.

I faktycznie poza Cytadelą, poza nawpół zawalonym kopcem i jeszcze niezrekonstruowaną wieżą ratuszową, nie wiem, czy co utrzyma się na powierzchni. Zwłaszcza, że wybory do rady miejskiej, o których zresztą dziś — jak to i na wstępie i w środku zaznaczyłem — nie chcę wspominać, to strasznie długa kiszka. Zaczęły się w czwartek pod koniec marca, a skończą się może także w czwartek, ale gdzieś w maju. Po pierwszem skrutynium, które potrwa parę tygodni, wobec tego, że każdy wyborca głosuje na 56 ludzi, okaże się, że tylko jedna trzecia kandydatów zdoła się prześlizgnąć do rady. Dwie trzecie idą do ponownego głosowania, potem do jeszcze jednego, potem do ściślejszego, a potem do całkiem ściślego. Aż będzie albo nam, albo wam.

Będzie więc tej zabawy na parę jeszcze tygodni. I coraz więcej klajstru. Może i ja się w nim utopię?

Wiim ja?

Tyndyryndy.

Nowa Wielka Szarada do nagrody!

Szanownym Czytelnikom dajemy do dyspozycyi **siedm** liter, oznaczonych cyframi od 1 do 7, z których można przy odpowiedniem ich zestawieniu, ułożyć szereg wyrazów.

1, 2, 3, 4, 5, 6, 7.

W tym porządku czytane litery powyższe, dadzą imię własne żeńskie, częste na Wschodzie, a spotykane także w naszej literaturze. — Te same litery, inaczej a rozmaicie zestawione, przyczem obojętnem jest, jaka ilość ich będzie braną pod uwagę, dadzą dalsze wyrazy, których część dla przykładu poniżej podajemy.

1) 6, 7, 1, 7. Schowek na pieniądze;
2) 1, 7, 6. Rodzaj torby;
3) 3, 7, 6. Kwiat doniczkowy;
4) 6, 3, 4, 5. Substancya spajająca;
5) 3, 4, 5, 4, 6. Naczynie gospodarskie;
6) 6, 7, 3, 4, 6, 7. Istota ułomna;
7) 3, 7, 1, 6, 7. Przyrząd do podpierania;
8) 6 3, 7, 1, 7. Ubikacya w budyku szkolnym;
9) 3, 2, 6, 7. Miejsce puste;
10) 6, 2, 3, 7. Figura geometryczna;
11) 1, 7, 3, 7. Obszerny pokój;
12) 1, 7, 1. Mieszkaniec Saksonii;
13) 5, 2, 3, 5, 7. Imię żeńskie;
14) 3, 4, 6. Środek leczniczy;
15) 6, 7, 3, 6, 7. Materyał do powielania pisma;
16) 7, 3, 4, 3, 2, 5, 7. Pozdrowienie wielkanocne;
17) 6, 3, 2, 1, 6, 7. Potrawa mączną;
18) 5, 7, 6. Pytajnik.
19) 5, 2, 6, 7. Roślina egzotyczna;
20) 1, 7, 2, 3. Męskie imię biblijne.

Za rozwiązanie powyższej szarady przeznaczamy:

11 nagród, wartości przeszło 1100 koron!

1. **Bilet kolejowy II. klasy pociągiem pospiesznym z Krakowa przez Wiedeń, Tryest, Wenecyę, Bolonię, Florencyę do Rzymu i z powrotem z Rzymu przez Ankonę, okrętem do Fiumy i dalej przez Zagrzeb, Budapeszt do Krakowa, wartości 250 kor.**
2. **Wspaniały ręczny aparat fotograficzny, wartości 200 kor.**
3. **Złoty zegarek męski, wartości 160 kor.**
4. **Duży pierścień złoty z cennym kamieniem, wartości 120 kor.**
5. **Elegancki gramofon najnowszego systemu, z 12 płytami, wartości 100 kor.**
6. **Piękny złoty medalion z brylancikiem, na dwie miniaturowe fotografie, wartości 75 kor.**
7. **Zgrabna, znakomita lornetka teatralna w pięknej oprawie, wartości 50 kor.**
8. **Zbiór dzieł powieściowych Stefana Żeromskiego** (między innemi „Ludzie bezdomni“, „Dzieje grzechu“, „Popioły“, „Aryman mści się“ itd.), **wartości 30 kor.**
9. **Portfel (pugilares) skórzany na banknoty, wartości 15 kor.**
10. **Pudełko papieru listowego w kasetce, wartości 10 kor.**

Dodatkowa nagroda 11: Bilet jazdy II. kl pociągiem pospiesznym z Krakowa do Wiednia i z powrotem.

Nagrodę 11-tą otrzyma prenumerator, który z podanych przez nas liter utworzy największą ilość wyrazów, najmniej jednak 50. Wszystkie wyrazy mają być polskie, z wyjątkiem imion własnych, nazwisk, nazw miejscowości i wyrazów technicznych.

Czytelnicy, zamierzający ubiegać się o powyższe nagrody, muszą się zastosować do następujących warunków:

1) Rozwiązanie powinno być nadesłane w dostatecznie ofrankowanym liście, **najpóźniej do 30 kwietnia b.r.**, pod adresem: Redakcya „Nowości Illustrowanych“ w Krakowie, Zacisze 7.
2) Rozwiązanie musi być podane na zamieszczonym poniżej **kuponie**, odpowiednio **wypełnionym.**
3) **Nadsyłający rozwiązanie musi być nietylko prenumeratorem pisma, ale abonować je bezwarunkowo albo w Centralnej Administracyi pisma w Krakowie, Zacisze 7, albo w biurach G. Ungra w Warszawie Aleja Jerozolimska 78 lub Wierzbowa 8.** Nieprenumeratorzy lub ci Abonenci, którzy pismo gdzieindziej prenumerują, nie mają prawa do otrzymania nagród.
4) Jednemu i temu samemu prenumeratorowi nie przysługuje prawo przysłania kilku rozwiązań.

Nazwiska prenumeratorów, którzy w terminie wyżej podanym i przy zastosowaniu się do określonych warunków, nadeślą trafne rozwiązanie, zostaną ogłoszone wraz z numerami porządkowymi w numerze 19-tym z dnia 9 go maja b. r. W dniu zaś 17 maja, w niedzielę, o 12 w południe odbędzie się w lokalu Redakcyi przy ul. Zacisze l. 7. I. piętro publiczne rozlosowanie nagród, w obecności Czytelników, których niniejszem na losowanie to zapraszamy.

Nr.

„Nowości Illustrowane“ Nr. 13/908.

Kupon do rozwiązania szarady.

Znaczenie cyfr 1 2 3 4 5 6 7:

Imię i nazwisko rozwiązującego:

Miejsce zamieszkania (dokładny adres):

Ostatnia poczta:

BEZ ZAWZIĘTOŚCI!

Powieść na tle opowiadań doświadczonego detektywa.

Z niemieckiego oryginału opracował Ł. R.

3 Ciąg dalszy.

— Czy nie słyszałeś pan tuż przed wejściem swojem jakiego krzyku w pokoju zamordowanego?

— Nic a nic nie słyszałem.

— A którędy pan wszedłeś do kancelaryi Sandtnera?

— Chciałem wejść z przedpokoju, bo tamtędy wszyscy wchodzą, jak mi to Ella powiedziała, ale służący nie chciał mnie wpuścić, mówiąc, że pan Sandtner nikogo dzisiaj nie przyjmuje. Pomyślałem sobie, że chociaż nie przyjmuje w sprawach bankierskich, to przecież mógłby przyjąć w sprawie prywatnej, familijnej. Nie chcąc się opierać służącemu, poszedłem do Elli, a ona wskazała mi drogę do kancelaryi wuja przez bibliotekę i przyległy do niej pokój.

Młodzieniec przerwał i nastała chwila milczenia. Komisarz i sędzia spoglądali na siebie, jakby się wzrokiem porozumiewali.

— Czy nie spostrzegłeś pan telefonu w pokoju zamordowanego? — zapytał sędzia.

— Zdaje mi się, że widziałem. Tak, tak — umieszczony był na biurku.

Znowu przerwano rozmowę.

Nagle zdezwał się Costa:

— Jak panowie sądzą, czy będzie można wyszukać mordercę?

Komisarz i sędzia spojrzeli z podziwem na pytającego; wydawało im się to nagłe zapytanie dziwnem, a sędziemu podejrzanem, to też odpowiedział z naciskiem:

— Jestem tego pewien!

— O, tak, tak — trzebaby koniecznie wyszukać mordercę. To straszny zbrodniarz — rzekł młodzieniec z westchnieniem.

I to westchnienie sędziemu wydało się dziwnem, nienaturalnem, to też patrząc bystro w oczy buchalterowi, zapytał go z nienacka:

— Jeżeli pan Sandtner nie zgadzał się na małżeństwo pańskie z siostrzenicą, dlaczegoż pan nie chciałeś ożenić się z nią bez jego pozwolenia?

— Ja byłbym to uczynił, ale Ella nie chciała.

— Dlaczego?

— Ona jest sierotą — na łasce wuja, majątku żadnego nie posiada, a ponieważ wuj przeznaczył jej sto tysięcy koron posagu, więc lękała się sprzeciwić jego woli, ażeby tego posagu nie stracić...

— A, to powód bardzo słuszny! — rzekł sędzia Maran z odcieniem ironii.

— Oczywiście. Dlatego chciałem próbować szczęścia, przedstawić się Sandtnerowi i wyjednać zezwolenie.

— A jakże panna Gerlach dowiedziała się o tem, że wuj jej taki posag przeznaczył?

— On jej to sam powiedział i pokazywał jej akt notaryalny, w którym zapis dla niej uczynił.

— Aha! — rzekł sędzia Maran. To bardzo jasne.

Powóz zatrzymał się nagle, byli już na Rennweg pod l. 5. Przed domem była straż policyjna i spora gromada ciekawych.

IV.

Pospieszono na miejsce zbrodni. W przedpokoju zastali wybladłą, przerażoną młodą panienkę; Costa pobiegł ku niej, uścisnął jej ręce i rozmawiać zaczął. W pobliżu okna siedziała na krześle piękna kobieta, raczej przerażona, niż smutna. Niespokojnie spoglądała we drzwi pracowni, u których stał żołnierz policyjny na straży. Komisarz i sędzia poznali w niej wdowę po zamordowanym.

— Pani wybaczy, że straż postawiono u drzwi. Takie przepisy i taka konieczność — rzekł komisarz uprzejmie.

— Wiem o tem i poddaję się tej konieczności — odpowiedziała pani Sandtner.

Komisarz i sędzia weszli do pracowni bankiera. Tuż przy biurku leżały zwłoki, głową na posadzce, nogami zaczepione o fotel. Widocznie zabito go, gdy siedział, poczem ciało runęło. Z czaszki krew tryskała i kawał mózgu wlepił się we włosy. Oczy były otwarte, szkliste, pięść zaciśnięta. Obok biurka leżał ciężki, bronzowy, olbrzymi lichtarz, zakrwawiony, zagięty. Był on widać narzędziem morderczem.

Żadnego nigdzie nieładu, nigdzie śladu rabunku. Kasa, szafa, szuflady biurka, wszystko pozamykane.

— Dziwne! — szepnął komisarz.

— Morderstwo spełnił ten, komu zależało tylko na śmierci ofiary — rzekł sędzia. Tak, tylko ktoś taki, a tym jest...

— Masz pan jakie domysły?

— Tak — nawet więcej, niż domysły.

— Mianowicie?

— Jak się panu wydaje ten Costa?

— Costa? Sądzę, że to sobie dobry, naiwny chłopiec.

— Nie zgodzimy się.

— Wątpię, abyś go pan zechciał podejrzywać.

— Ja mam nie podejrzenie, ale wyraźne poszlaki.

— Niemożebne.

— Rzecz jasna. Przyszedł do Sandtnera z prośbą o zezwolenie na małżeństwo, dostał odprawę, kazano mu pewnie iść do stu dyabłów. Rozdrażniony, a przekonany, że dopóki Sandtner żyje, z siostrzenicą jego się nie ożeni i stu tysięcy posagu nie dostanie, porwał ciężki lichtarz z biurka i zgładził tego, co mu zapierał drogę do szczęścia. Wiedział o zapisie notaryalnym. Ten zapis go zgubił. Jeżeli Sandtner będzie żył, może zapis cofnąć, jeżeli zginie zaraz, zapis zostanie. A więc precz z Sandtnerem. Miłość, chciwość, uniesienie gniewem, uczucie ciężkiej obrazy, to wszystko złożyło się u tego młodego człowieka na ów moment psychiczny, który go popchnął do zbrodni. Dodajmy do tego prędkość młodego wieku, a będziemy mieli tak silne poszlaki, że na ich podstawie można Costę pociągnąć do odpowiedzialności.

— Ależ to tylko kombinacya przypuszczeń i możliwości, w których atoli niema prawdopodobieństwa.

— A czas, w którym tu był? Wszakże sam powiedział, że tu był na kilka minut przed jedynastą.

— Może właśnie tuż po spełnieniu zbrodni przez kogo innego, wszedł tu, nie przeczuwając, co zastanie.

— A gdzieżby tymczasem podział się morderca? Przedpokojem nie wyszedł, bo tam był służący, gdyby szedł przez bibliotekę, byłby spotkał się z Costą.

— A to okno? — rzekł komisarz i wskazał na nie.

Było otwarte naroścież. Za oknem był mały ogródek, przytykający do sąsiednich większych ogrodów, oddzielony od nich niską siatką żelazną. Komisarz wyjrzał przez nie. Było dość niskie, na zwykłym parterze; łatwo było wejść przez nie i wyskoczyć wygodnie, potem bez kłopotu mógł zbrodniarz przeleść przez siatkę i zniknąć w gęstwinie drzew i krzewów ogromnego ogrodu, otwartego zawsze dla publiczności.

— Czy widzi pan ten krzak róży, złamany, tuż koło siatki? — mówił komisarz. Tędy zbrodniarz przeskakiwał. A proszę spojrzeć jeszcze; oto w piasku, na ścieżce ślad stopy poprzecznie postawionej, tuż koło złamanego krzaku.

— Nie przeczę, prawda. No, rzecz się wyjaśni. Mimo tego upieram się przy podejrzeniach, które powziąłem względem Costy. Rozpocznijmy przesłuchanie od tej panny Elli Gerlach. Gotów jestem nawet do zakładu, że z niej wyciągnę potwierdzenie moich podejrzeń.

Jakoż wezwał sędzia przerażoną dziewczynę do pokoju, w którym leżały zwłoki zamordowanego. Zadawał jej pytania, niekiedy nawet i podstępne, ale dziewczyna odpowiadała na wszystko jasno i spokojnie, wreszcie zapytał sędzia:

— Czy wuj pani nie miał jakiego nieprzyjaciela?

Ella nie odpowiedziała odrazu, spuściła oczy, jakby się namyślała co odpowiedzieć. Po krótkiem wahaniu odrzekła przytłumionym głosem:

— Nie wiem.

Sędzia spoglądał jej bystro w oczy, a teraz uśmiechnął się ironicznie i powiedział:

— Dziękuję bardzo, na teraz nie będę już pani trudził, proszę jeszcze zatrzymać się w przedpokoju.

Ella wyszła, sędzia zamknął drzwi za nią i odezwał się do komisarza:

— Czy uważałeś pan, jak się zmięszała przy ostatniem pytaniu? To jej pomieszanie dowodzi jasno, że Costa musiał się kiedyś przed nią odgrażać przeciw Sandtnerowi. To wszystko, co już panu nadmieniłem, to pomieszanie dziewczyny, a wreszcie i czarne ubranie Costy, zniewalają mnie do utrwalenia podejrzeń.

— Zwracam jeszcze raz uwagę pańską, że morderca niezawodnie wyskoczył przez okno, a więc nie był nim Costa.

— A może to właśnie Costa wyskoczył przez okno? — rzekł sędzia.

Teraz przesłuchiwano portyera, a ten zeznał, że Costa wszedł do domu o trzy kwadranse na jedynastą, a w kilkanaście minut wybiegł przerażony, opowiedział mu w kilku słowach o morderstwie i sam sprowadził żołnierza policyjnego.

— Czy nie wszedł jeszcze kto inny do mieszkania? — pytał sędzia portyera.

— Nie wiem tego, bo kilka razy wypadło mi na chwilę zejść ze stanowiska, aby pokazywać mieszkania do wynajęcia na drugiem piętrze. Wtedy czuwała pokojowa.

— Proszę ją tu zaraz przysłać.

— Niema jej teraz w domu. Pani jej pozwoliła odwiedzić matkę.

Sędzia spojrzał ze zdumieniem, a znacząco na komisarza. Portyera odprawiono, a wezwano lokaja.

— Kto był przed jedynastą u pana Sandtnera?

— Chciał wejść pan Costa, ale go nie wpuściłem, bo miałem rozkaz nie wpuszczać nikogo — odpowiedział służący.

— A czy prócz tego pana Costy nikt inny się nie zgłaszał?

— Nie.

— A może był ktoś u państwa i wszedł drugiemi schodami, które wiodą do prywatnego mieszkania?

— Tego nie wiem, bo ja byłem zajęty tylko po tej stronie, przy kancelaryi. Tam otwiera drzwi pokojowa.

— A gdzież ona?

— Poszła do swojej matki, za zezwoleniem pani.

— Możecie odejść.

Gdy służący się oddalił, sędzia przygryzał wargi. Niecierpliwił się niepomiernie, że przesłuchania służby nie rozświetlają niczego. Komisarz siedział w kącie i był głęboko zamyślony. Nastała chwila milczenia, aż je przerwał sędzia:

— To dziwne, że pokojowa właśnie teraz się oddaliła i to za zezwoleniem swej pani.

— Istotnie — mruknął komisarz, jakby zbudzony z zadumy. Właśnie nad tem myślałem. Zapewne pani Sandtner zechce to wyjaśnić.

— Czyżby chciano usunąć świadka? Ale dlaczego? Przecież ona, żona... chyba.. Dziwne. Ha! zobaczymy.

Sędzia otworzył drzwi i zaprosił uprzejmie wdowę po zamordowanym. Weszła majestatyczna, spokojna, acz zgnębiona bardzo. Zaledwie postąpiła kilka kroków, zmięszała się nagle i drgnęła. Oczy jej utkwiły w posadzce, jakby tam coś dostrzegły i widoczne teraz było przerażenie na jej twarzy. Nie uszło to uwagi komisarza, więc śledził ją z boku, bacząc na każdy jej ruch, wpatrując się w twarz zaniepokojoną.

— Pani pozwoli się zapytać — rzekł sędzia uprzejmie — gdzie się pani znajdowała wtedy, gdy tu morderstwa dokonano?

— Byłam w swoim buduarze.

— Kiedy stało się to nieszczęście?

— Na kilka minut przed jedynastą.

— Czy pewnie?

— Najpewniej.

— A skąd pani wie o tem, że właśnie wtedy męża zamordowano?

— Siostrzenica mego męża zawiadomiła mnie o tem.

— A czy mąż pani miał nieprzyjaciół?

Zapytana drgnęła przy tem pytaniu. Spostrzegł to sędzia i wpatrzył się w nią bystro, wyczekująco.

— Nie przypominam sobie, nie wiem, ale są dzę, że nie — odpowiedziała wcale spokojnie — i postąpiwszy o dwa kroki w bok, niby od niechcenia, przydeptała stopą jakiś mały przedmiot, który przy wejściu z przerażeniem dostrzegła. Widział to komisarz, nie spuszczając z niej oka, a zauważył też, że od chwili przydeptania owego przedmiotu, była pani Sandtner znacznie spokojniejsza.

— Czy niema pani na kogoś podejrzenia?

— Nie panie.

— A gdzie się podziała pokojowa pani?

— Pozwoliłam jej odwiedzić matkę.

— A gdzież mieszka jej matka?

— Tego nie wiem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Nowi posłowie sejmowi:



Dr. Franciszek Sobolewski
(m. Sambor).



Wincenty Witos
(pow. Tarnów).



Zygmunt Lewakowski
(pow. Stary Sambor)



Adolf br. Brunicki
(pow. Gródek).



Adam Krężel
(pow. Pilzno).



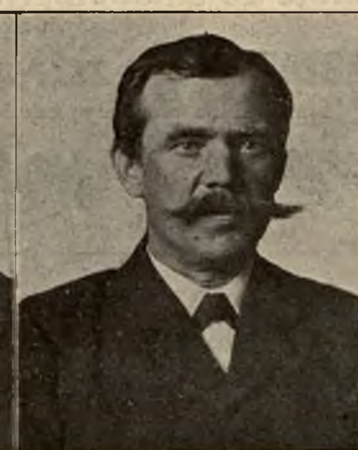
Wincenty Myjak
(pow. Nowy Sącz).



Bolesław Żardecki
(pow. Łańcut).



Michał Jedynak
(pow. Ropczyce).



Jan Cieluch
(pow. Grybów).

Zagadka do nagrody.

Szarada.

Ułożył S. Spunda ze Skały.

Pierwsza wspak, wszak to jedna z kart,
Znają ja karciarze;
Druga, druga wprost, także wspak
Idą często w parze.
Trzecia wprost, to zwierzę wodne,
Znane dla swych ości,
Trzecia wspak, jest jedna z rzek,
Słynna z swej długości.
Całość łatwa, by odgadnąć,
Trzeba dobrych chęci,
Wojnę Rosyi z Japonią
Trzeba mieć w pamięci.

Za rozwiązanie powyższej szarady przeznaczamy powieść T. Jaroszyńskiego, pt. »Miasto«.

Rozwiązanie zagadek z Nru 11.

Szarada I.
Maliny.

Szarada II.
Tokarze.

Szarada III.
Medycyna.

Logogryf I.
Reymont, Jan Kochanowski, Odyniec.

Logogryf II.
Jan Lam, Głowy do pozłoty.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: A. Bocsoń Bóbrka, Z. Eder Toporów, R. Czaplicki Lwów, M. Arbesbauer Lwów, C. Fijałkiewicz Lwów, F. Niepokój Krosno, I. Wielgus Wadowice, H. Chodkiewicz Warszawa, Z. Karasińska Wadowice, A. Lewandowska Stryj, M. Kuzia Wadowice, W. Laskowski Warszawa, R. Jaworski Kraków, W. Rakiewicz Częstochowa, W Fried Lwów, K. Michalczewska Złoczów, K. Jurkiewicz Gwozdziec, O. Tłuchowski Warszawa, A. Kudła Tapin, E. Bogdalska Koropuż, M. Rożański Libusza, E Załulińska Olszanica, Z. Gandnik Stary Sącz, A Rotter Stanisławów, K. Fuchs Czeremchów, M. Witkowska Łańcut, S. Eckhardt Stanisławów, A Neusser Krzeszowice, A. Nikosiewiczowa Krzywe, O. Górkowa Chyrów, J. Młodzianowska Przeworsk, J. Garbień Stryj, L. Złochowski Zaleszczyki, W. Neuman Potok Złoty, W. Spirydowicz Stara Sól, B. Ramułtowa Jeżów, M. Stachowicz Kraków, B. Mieczkowski Kraków.

Nagrodę przez losowanie otrzymała p. K. Michalczewska, Złoczów. Prosimy o nadesłanie 35 h. na koszta przesyłki.

Wielki obrót przy małym zysku umożliwia firmie W. Schlawe we Lwowie, ul. Batorego 12—14 dostarczanie po bezprzykładnie nizkich cenach prześlicznych, wspaniałych modeli rowerów i gramofonów z sezonu 1908 roku. Każdy uczyni dobrze, zwiedziwszy przed zakupnem powyższe składy, co jest najchętniej dozwolonem. Kolarzy z pewnością zainteresuje wiadomość, że w roku ubiegłym przy jeździe dystansowej »Multiplex« otrzymał pierwszą nagrodę, jak też, że i na ten rok taka jazda dystansowa ustanowioną została.



Sardynki Warchanka, Mszana Dolna
c. k. dostawcy dworu.

Handel Delikatesów
L. Aksmanna w Krakowie
poleca
NA POST

Ryby marynowane, wędzone, w galarecie, kawior carski, Sery krajowe, francuskie, holenderskie, Sardynki franc. w różnych sosach. Specyalną oliwę nicejską do majonezów, Owoce kalifornijskie na kompoty.

Okazya! Znakomite Sardynki norweskie 1 pud. 34 ct. — Specyalność: krajowy ser z kminkiem. — Obok handlu

Pokoje do śniadań. Kuchnia wyborna
pod własnym zarządem.
GABINETY dla zebrań towarzyskich
Przesyłki na prowincyę uskutecznia się odwrotnie.

MARKA OCHRONNA
M. O. ESPERANTO W. S. L.
17—52 1—18 (1908)

Pierwsza galicyjska fabryka Bielizny i Kołder
Wiktor Sedlaczek, Lwów
plac Kapitulny 3

Poleca kołdry na wełnie po Kor. 10, 14, 18 do 60. Puchowe po K 30, 36, 44. — Materace, siennniki, poduszki z pierzem, prześcieradła na łóżka bez szwu po K 2·60 do 3·20, zszywane po K 1·90 do 2·20. Prześcieradła pod kołdry na guziki bez szwu po K 4·80, 5·40, 6·40, Poszewki białe po K 1·80, 2·20. — Koszule męskie i dla chłopców białe i kolorowe. Kalesony męskie i dla chłopców. Skarpetki męskie i dziecinne w gatunkach trwałych. — Płótna czysto lniane, stołową bieliznę, ręczniki, chustki do nosa, ścierki, szyfony, płótna bawełniane na każdą bieliznę i prześcieradła bez szwu, płótna i dymki na kalesony.
Ceny fabryczne. Cenniki franko.



Proszę żądać darmo i opłatnie mój bogato illustrow. polski CENNIK zegarków, towarów złotych, srebrnych (przeszło 3000 illustracyi).

Pierwsza fabryka zegarków
Hanns Konrad
Ces. i król. nadworny dostawca w Brüx, Nr. 1148 (Czechy).

Prawdziwe szwajcarskie niklowe anker-remontoir, zegarki systemu Roskopf-Patent K 5 —, 3 sztuki K 14 —. Wolna zamiana lub zwrot pieniędzy. 5—2

Farbiarnia i Pralnia chemiczna
ANTONIEGO SZAPKOWSKIEGO
w Krakowie, ul. Karmelicka L. 20
Przyjmuje do farbowania, prania, odczyszczania i wywabiania z plam wszelkie wyroby
Na prowincyę za pobraniem pocztowem.

Bogumił Pirkel
optyk i mechanik
Lwów Akademicka 6.
Dostawca dla c. k. kliniki okulistycznej
poleca po najtańszych cenach wszelkie wyroby optyczne.
Wykonuje reperacye szybko i dokładnie

Parowa fabryka 13—25
dla wyrobów Mebli
z najnowszych wzorów poleca swój bogato zaopatrzony skład pokoi sypialnych, jadalnych, salonów, mebli wyścielanych, luksusowych itp. — Ceny przystępne.
Franciszek Zeiser, Lwów (pasaż Mikolasza).

---

15 ULICA POSELSKA 15
Na święta
znakomite Torty od 3 Kor.
15 poleca Fabryka wyrobów cukierniczych prowadzona pod osobistym kierunkiem: **R. Pieczarki, Kraków, Poselska L. 15** (koło kościoła św. Józefa).

Odznaczony dyplomem honor. i Medalem Złotym na Wystawie wiedeńskiej 1907 r.
● Zaprzysiężony rzeczoznawca sądowy i oceniacz wojskowy ●
M. AMSTER, Lwów, ulica Jagiellońska 9
Pierwszorzędny Magazyn i pracownia Obuwia męskiego, damskiego i dziecinnego — poleca znane z trwałości obuwie gotowe na składzie, tylko własnego wyrobu. Zamówienia z prowincyi uskuteczniam szybko.
13—52 1—18



Pracownia i magazyn Obuwia
damskiego i męskiego tylko własnego wyrobu!
Jan Szuller, Lwów, ul. Sykstuska L. 29
poleca obuwie gotowe jak również na zamówienia wykonane starannie i szybko wedle najnowszych fasonów i jest w możności najwybredniejszym wymaganiom zadość uczynić. — Z prowincyi zużyty bucik na miarę
(18—52) (1—17)

Kraków Sławkowska L. 3 Telefon 516



Kraków Hotel Saski Telefon 516

ZDZISŁAW ZDANOWICZ



Magazyn galanteryjny
Skład Bielizny, Kapeluszy,
Obuwia amerykańskiego
i przyborów do podróży.



Cenniki illustrowane na żądanie darmo i opłatnie

Kupujących
Rowery • Przybory kolarskie • Gramofony • Płyty
zapraszam przy zapotrzebowaniu przed zakupnem zwiedzić wpierw mój



□ fabryczny skład □
□ największy w całej Galicyi □
a z pewnością



zaoszczędzi każden dużo pieniędzy!

Dostarczam moje pod gwarancyą pierwszorzędne, austryackie **ROWERY** zupełnie nowe, już poniżej 100 K. Pisemna gwarancya!

Odsprzedającym daję :: wysoką prowizyę :: — Naprawiam najtaniej Rowery i Gramofony — Ulgi w spłatach :: wedle umowy ::

W. SCHLAWE, we Lwowie, ul. Batorego L. 12—14.

SALO MOHR
Lwów, ulica Sykstuska 15
Dom secesyjny



1—16

poleca **PŁYTY**
Odeon, Favorite i z Aniołkiem po bardzo zniżonych cenach oraz Gramofony z najsławniejszych fabryk z „Aniołkiem“ Cenniki i spis płyt odwrotnie.

Około 100.000 sztuk w użyciu. 5 lat gwarancyi. 8 dni na próbę.



Brzytwa Nr. 31 z najlepszej Solingera srebrnej stali, na 1/2 wklęsłości szlifowana, z fantazyjną okładką według wzoru, w pudełku, K 2·50 — Nr 32, takasama ale na 3/4 wklęsłości K 3 —. — Nr. 33, takasama, ale na 1/1 wklęsłość, K 3·80. — Nr 8700, z czarną, gładką okładką na 1/2 wklęsłości K 1·50 — Garnitur do golenia w polerowanej drewnianej kasetce z lustrem, zamykanej, zawierającej brzytwę, pasek do ostrzenia, penzel, kubek i mydło, K 4·20, 5·— z grzebykiem bezpieczeństwa 60 hal więcej. — **Żadne ryzyko!** Jeżeli się nie podoba, **zwracam pieniądze.** Wysyłka za pobraniem tylko przez znany w całym świecie Dom wysyłkowy

Hanns Konrad c. i k. dostawca Dworu w Brüx,
Nr. 1106 (Czechy)
Katalog główny z 3000 wzorami na żądanie posyła każdemu darmo i opłatnie.

Fabryka STANISŁAWA HOFA w KRAKOWIE
poleca znakomitą: **HOFA** polską pastę do obuwia **HOFA** polską pastę do metali **HOFA** proszek do prania
których to wyrobów należy żądać we wszystkich handlach.

MAGASIN DU BOULEVARD, Lwów,
Hotel George'a wchód od ul. Sienkiewicza.
Ubrania marynarkowe, żakietowe, angielskie, zowe, smokingowe, frakowe, szportowe;
Narzutki wiosenne, letnie i jesienne; **Kurtki i Bundy podróżne** w największym wyborze. — Zamówienia uskutecznia się w najkrótszym czasie.